

WACŁAW SIEROSZEWSKI

W ŚRÓD ŁODÓW

D A R
Towarzystwa Popierania Budowy Publicznych Szkół Powszechnych
OKRĘG WILEŃSKI

WARSZAWA — 1938.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R Ó J”



260009

WŚRÓD LUDÓW

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0125046

Zakłady Graficzne „FENIKS”, Warszawa.

W/240/01

155-

I.

Amerykańskie „Towarzystwo Mórz Północnych“ postanowiło wysłać okręt do jednego z biegunów. Wybrano biegun północny, a z okrętów „Nadzieję“, najlepszy parowiec Towarzystwa.

W końcu czerwca statek wyruszył z San Francisco; po upływie dwóch tygodni przebył cieśninę Beringa i wypłynął na szerokie przestworza oceanu, gdzie w dali ukazało się przed nim wkrótce perłowe widmo pierwszych lodów. Słońce oświecało je właśnie, a one pływały w jego promieniach przejrzyste, powiewne, niby odłamki srebrnych obłoków, zwracając ku niemu cypłe swe i krawędzie, zapalając się szybko gasnącemi blaskami.

Załoga „Nadziei“, zgromadzona na pokładzie statku, w milczeniu przypatrywała się temu pięknemu i groźnemu zjawisku. Statek, pędzący całą siłą pary wśród jasnej, nieskończonej przestrzeni wód, podobny był do maleńkiego chrabąszcza, lecącego ku swej zgubie. Zostawiał za sobą przez chwilę tylko widzialny obłoczek dymu i bródzę pieniającej się wody.

Gdy wpadli nareszcie między lody, przybladł

nad nimi lazur nieba, a widnokrąg przyćmiła mgła lekka.

Załoga dobrze była usposobiona i pewna siebie, gdyż Towarzystwo nie szczędziło wydatków na zaopatrzenie okrętu i przeznaczyło podwójny żołd dla wszystkich.

Nad archipelagiem lodów unosiła się mgła; a one kołysały się z boku na bok, niby gromada białych, z łapy na łapę przestępujących niedźwiedzi, i chrobotwały, uderzając o siebie. Ten chrzęst, ten pomruk złowróbnny rósł, wzmagał się, potężniał, w miarę jak zwęzły się przesmyki wolnej wody; aż przeszedł w nieustający huk, który przy najmniejszym wietrze zmieniał się w ryk straszny. Towarzyszący mu plusk fal, ciężkich i przyduszonych, przypominał kłapanie kłów rozszalałego zwierza.

Przejścia wśród lodów stały się tak wąskie i tak często zmieniały kształt, że statek, lawirując wśród nich, kreślił drogę, której obraz, odrysowany na mapie przez starszego oficera, porucznika Will'a, przedstawiał zbiór łamańców bardzo podobnych do pisma arabskiego. Kapitan Mersey prawie nie schodził ze swego mostku: nikt nie wiedział, kiedy on spał. Czas jakiś statek posuwał się naprzód, krusząc mniejsze zapory, omijając większe; aż wreszcie zadał silniejszy wiatr i lody natarły mocniej. Zamykając odwrót, uwięziły okręt w niewielkim basenie, utworzonym przez duże pola lodowe, bokami do siebie przyparte. Prąd pochwycił statek wraz z temi polami i poniósł go na północ.

Pędził ku zimie i ona śpieszyła na jego spotkanie. Słońce pokazywało się tylko na krótko; panowała noc nietylko ciemna, co długa. Zimno stało się coraz dokuczliwsze. Wilgotne liny od masztów i rej zamieniły się w pałki twarde i sztywne; pokład statku pokrywał się śliską skorupą lodu, którą co rano trzeba było zeszkrobywać szpadłami. Majtkom kazano włożyć ciepłą odzież. Ze wszech stron wiały dokuczliwe wiatry. Morze kołysało się niespokojnie, podnosząc w górę okręt i lody. Załoga „Nadziei“ żyła w bezustannej trwodze o los statku. Nakoniec pękły ochronne pola lodowe i kry z łoskotem wściekłym rzuciły się na okręt. Jak okiem sięgnąć, wszędzie widać było ruchome ich zastępy. „Nadzieja“ czas jakiś szła wśród nich, krusząc lód dziobem i zatapiając pod sobą; lecz walka taka długo trwać nie mogła. Lody, jak gdyby statek dopiero teraz spostrzegły, wszystkie rzuciły się ku niemu. Kry, bryły, góry lodowe, lały sobie na grzbiety, bijąc się i rozpychając w szalonym pędzie ku nieszczęsnemu statkowi. Gwint i maszyna dawno działać przestały; statek poruszał się pod naciskiem zewnętrznej siły. To zapadał się w głąb, wśród ogłuszającego grzmotu pękających lodów, które, spiętrzywszy się dokoła niego, ze złowieszczym chrzęstem wysuwały naprzód swoje szcerbate, sinobiałe łapy, potrącały rogami kryształowych tafli, grożąc zmiażdżeniem; to znowu wyparty na sam szczyt, stał tam chwilę, jak oblężona twierdza, dokoła której w zwartym boju uwiijały się rozhuwane lodowce. Wyparty go nakoniec na brzeg

ogromnej kry; padł na bok, jak wyrzucony przez morze wieloryb. Uderzenie było tak straszne, że marynarze powyskakiwali na lód i w niemem przerażeniu patrzyli, co dalej będzie; dopiero świstawki oficerów i gniewna komenda kapitana przywołały ich na miejsca. Statek był jednak uratowany. Czas jakiś jeszcze lody doń szturmowały, nie mogły jednak zdruzgotać, ani przechręcić dużej kry, na której spoczywał. Od wstrząśnięć wyprostował się trochę; a gdy wieczorem wiatr ucichł, wszystko w jednej chwili zastygło w takim położeniu, w jakim zastała je cisza. W mgnieniu oka gęsta jak smoła woda, nasyciona igłami lodu, spoiła w jednolitą całość spiętrzone bryły. Martwa cisza i ciemność, przesiąknięta białymi parami, zaległy nad bladymi lodami z wzmarzniętym w nie skołatany okrętem.

II.

Wilgotne tumany nikły zwolna i opadały, zostawiając w powietrzu ostry lodowaty pyłek. Słońce na krótko ukazywało się nad szczybatymi lodowcami; świeciło słabo, było czerwone i nad sobą miało widmo tęczowe.

Kapitan, przekonawszy się, że lody dobrze zamarzły, kazał znieść na dół część zapasów i rzeczy, złożyć je i przykryć płótnem żaglowem. Na jednej z gór lodowych wzniesiono domek dla obserwacji meteorologicznych, które prowadził młodszy oficer, milczący lejtnant Nordwist. Na

lodzie również zbudowano chatę dla psów jazdowych, których było trzy tuziny. Nadzór nad nimi powierzono grubemu Dickowi, majtkowi do wszystkiego.

Marynarze bardzo lubili swoje psy, których obecność, igraszki, psoty i bójki przypominały im ulice dalekich wiosek rodzinnych. Jeden z majtków narysował nawet portrety wybitniejszych „brysiów“. Dick umieścił rysunek na widocznym miejscu wspólnej kajuty i był niezmiernie z niego dumny.

— A co!... Jakie pyszczki?!... Admiralskie!... Nieprawda?! — wołał wesoło.

Resztę zajęć rozdzielono skrupulatnie między całą załogę; jednym z głównych było usunięcie mas lodów, przywartych do boków okrętu. A nie było to rzeczą łatwą! Musiano je rozsádzać prochem i bawełną strzelniczą. Trzeba też było zająć się naprawą uszkodzonych części statku, wzmocnić osłabione wiązania, by z wiosną w dalszą puścić się drogę. Oficerowie zajęci byli robieniem obserwacji astronomicznych i klimatycznych; mierzyli głębokość morza, określali słoność wody i jej temperaturę, badali prądy; każdy z nich miał wyznaczonych sobie do pomocy majtków, kolejno się zmieniających. Codziennie oddział wyruszał na wyprawę między lody i zdala obchodził parowiec dokoła; a choć zabito tylko jednego białego niedźwiedzia w początkach jeszcze, potem zaś nie widziano już więcej zwierzyny, kapitan rozporządzenia nie zmieniał — gdyż wycieczki te miały ważne znaczenie, podtrzymywały bo-

wiem ożywienie w załodze. Czuwał on pilnie nad tem, by praca, wypoczynek i rozrywka szły po sobie w pewnym z góry nakreślonym porządku. Mieszkania na zimę nie zmieniano. Parowiec okazał się suchym i wygodnym domem. Nieprzyjemnem było tylko położenie, w jakim stał, ale i do tego przyzwyczajono się wkrótce.

Słońce wcale się już nie ukazywało. Dni poznawali po gwiazdach, które, jak wskazówki zegara biegały dokoła nieruchomo w zenicie stojącej gwiazdy polarnej. Ale zato co noc prawie płonne zielonawe, błękitne i różowe smugi zorzy północnej. Zima podbiegunowa przykryła ich na długo ciemnym swem wiekiem. Trzeba było uzbroić się w męstwo i cierpliwość.

Co wieczór, po pracy, żeglarze zbierali się we wspólnej kajucie i, obsiadłszy dokoła okrągły stół, czytali, pisali, rysowali. Co niedzielę jeden z oficerów miał odczyt, ilustrowany obrazami nikiącami.

Między marynarzami znajdowali się ludzie mało wykształceni; byli nawet tacy, co czytać nie umieli. Kucharz Li, Chińczyk, mówił bardzo źle po angielsku, czytać nie umiał także; znał wprawdzie kilka chińskich hieroglifów i podobno niedgdyś pisał rachunki, a nawet wnosił do ksiąg familijnych ważniejsze wypadki, jak tego wymaga dobre wychowanie chińskie, ale obecnie znaki te okazały się niewystarczające dla zapisania czegookolwiek. Li zabrał się gorliwie do nauki języka angielskiego, ale nie umiał sobie dać rady ze spółgłoskami, których więcej nad dwie nie mógł

razem wymówić. Rodzaje rzeczowników wprawiały go też w kłopot niemały: okręt nazywał „ona“ i lód — „ona“, a nawet wielkiego Toma Smiles'a, starszego majtka, określał zaimekiem „ona“. Sprawiało to wszystkim wielką uciechę i tak się podobało, że nikt nie nazywał go inaczej, jak „ona“ lub „oneczka“.

Jurek, myśliwy z Alaski, nie umiał nawet tego, co Li; mówił źle po angielsku i ciągle używał wyrażenia „ja myślę“, pokrywając w ten sposób brak wyrazów. Obaj oni uczyli się czytać i pisać w tym języku. Inni studjowali geografję, astronomję, historję; byli nawet tacy, którzy zagłębiali się w dociekania filozoficzne... Ale nade wszystko lubili poobiednie godziny, gdy wolno im było zbierać się w swojej kajucie dla wypoczynku i palenia. Na tych zebraniach królował „wesoły Dick“, tęgi, krępy marynarz, bywalec i bazarz nielada. Leżąc w hamaku, wzdychał zazwyczaj i biadał ciężko:

— Ot łajdactwo! wierutne łajdactwo!... Zobaczcie tylko, ile tam dziś szronu narosło w kątach naszej izby... Zimno wzmaga się, a wesołości ubywa. W powietrzu taki mróz, że oddychając, zdaje ci się, iż lód łykasz... A jednak na warcie stać trzeba!... Onegdaj na polowaniu tyle szronu zebrało mi się na wąsach, brodzie, brwiach i rzęsach, że z bólu chciałem krzyknąć gwałtu... a gdym zaczął zbierać te sopolki, to poparzyłem sobie palce niby gorącemi węglami... Nie wiem, czy teraz będę mógł grać na fortepianie tak dobrze jak dawniej; nic więc nie zyskam w tej po-

dróży... A jeszcze Bóg jeden wie tylko, jak się to wszystko skończy! — dorzucił smętnie.

— Dałbyś spokój!... Powiedz nam lepiej co wesołego.

— Nie mam ochoty... Zresztą... smucić się nie warto!... Chyba gdyby Tom...

— Ja myślę — zaczął Jurek.

— Ty nie myśl, nie myśl!... — przerwali mu ze śmiechem inni.

— Gdzież Tom? — dopytywał się Dick. — Nie można opowiadać bez niego.

— Jestem tu... na swoim miejscu!... — odezwał się gruby głos z kąta.

Tom stał w głębi, oparty o drzwi; czapkę futrzaną zsunął na tył głowy, ręce włożył w kieszenie i pykał sobie spokojnie, puszczając dymek z dużej piankowej fajki, wyrzeźbionej w kształcie głowy tureckiej.

— Ot strzaszydło! — wołał z zachwytem Dick. — Gdyby ongi moja mama spotkała była takiego w ciemności, napewno miałbym dziś konwulsje... Która też to głowa więcej warta? czy ta, z której się kurzy, czy ta, w której się kryje nasza mądrość okrętowa?...

Tom milczał i uśmiechał się.

— Cóż ci opowiedzieć?... Nie gniewaj się, kochanie!...

— Opowiedz choć raz... prawdę!

— O! tego towaru mało w moim sklepiku!... I drogi... chyba, że dasz za niego twoją fajeczkę.

— Ja myślę, że fajeczka... — wtrącił Jurek,

— Cóż znowu! — przerwali mu inni. — Fajeczka bez zarzutu!

Istotnie, można jej było pozazdrościć Tomowi. Przepalona nieco, miała kolor cynamonowy, właściwy rasie tureckiej — a twarz wyszła z rąk rzeźbiarza jak żywa.

— Kosztuje 50 dolarów — objaśniał Tom.

Ta fajka była jedyną dumą tego majtka, jedyną własnością, którą się szczycił.

— A więc chce wam się prawdy tym razem!... — rzekł Dick, wyciągając się w hamaku. — Dobrze, opowiem wam... jak zabili mnie rozbójnicy w Albanji...

— Jużśmy słyszeli!...

— Tak, tak... i ona to słyszała... i jeszcze gotowa... Ona zabita żywa... — przeciągał Li, kiwając głową...

— Nie, nie!... innym razem! Dziś prosimy o coś nowego; coś takiego, gdzie dużo ciepła, słońca!... coś z południa!...

— Dobrze. Powiem wam więc o tygrysie. Choć to niezupełnie z południa, ale zato poczęści prawda... Albo może opowiedzieć wam, jak zostałem królem pod równikiem?...

Wszczął się hałas; głosy były podzielone.

— Opowiadaj jedno i drugie — godził zwąśnionych Tom.

— Zgoda, przyjacielu! Cicho! Uspokójcie się... gdyż lękam się, że żadnego nie skończę... Czas upływa!

— Cicho! Słuchajcie!... Niech opowiada, co chce!

— Było to w roku tysiąc... setnym... zapomniałem którym... w kraju Usuryjskim. Przybyłem tam z transportem dynamitu, dla budującej się drogi syberyjskiej. Mieli w tem miejscu czy tunel robić, czy skały rozsadać, dość, że dynamitu było dużo. Ponieważ urzędnik z odbiorem się nie śpieszył i nie przyjeżdżał, więc musieliśmy urządzić składy i pilnować. Skład znajdował się za wioską, wśród pola, w bliskości rzeki, po której przy płynęliśmy z transportem; dokoła był las czarny, a pole i wioska wyglądały wśród niego jak mała wysepka. Morze, rzecz w świecie najmilsza, ale ład stały przyda się czasem, więc często zaglądaliśmy do wioski, szczególnie ja... Mieszkałi tam ludzie biedni, ale gościnni. Mieli oni jedną wielką wadę, że lubili odkładać wszystko do jutra. Nawet i wtedy nie śpieszyli się, gdy tygrys ukazał się w sąsiedztwie i zaczął dusić im krowy. Co noc rozlegały się ryki bydła, a chłopci siedzieli w domu i, skrobiąc się w głowę, próbowali odgadnąć, czyją krowę zjadł tygrys. Przyszło im nareszcie do głowy zamykać bydło na noc w chlewach.

Nic nie pomogło. Tygrys zaczął nawiedzać wieś, łapać psy i łamać zagrody.

— Na co wy czekacie? Zbierzcie się i zabijcie szkodnika! — radziłem przyjacielowi memu Grzegorzowi, u którego chętnie przesiadywałem, gdyż umiał trochę po angielsku. Nauczył się w niewoli u Anglików; bił się pod Sewastopolem i wpadł w ich ręce. Niewiele umiał, ale pomagaliśmy sobie pokazywaniem na migi i szło nam tak dobrze,

że stary służył nam zawsze za tłumacza w stosunkach z innymi mieszkańcami. Nawet córka jego Dosia poduczyła się trochę.

— Takie to u nas, widzisz, zwyczaj! — mówił stary. — Każdy z nas myśli, że dziś kolej na krowę sąsiada, a jutro tygrys sobie pójdzie. Życia daremnie narazić nikt nie ma ochoty. Ale poczekał, niech tylko zwierz zje człowieka, to naczelnik powiatu każe zabić tygrysa, a wówczas my go zabijemy...

Śmiałem się z jego gadania... aż tu raz u jednego słyszę szmer jakiś za oknem... Patrzę... za szybą stoi przegowata morda z konopiastymi wąsami, a okrągłe ślepia świecą się jak ogniki. Gospodarz siedział tyłem zwrócony do okna i nic nie widział, ale Dosia odskoczyła na środek izby i niema z przerażenia, stała biała jak chusta. Sięgnąłem po rewolwer, który położyłem na ławie, ale w tej chwili zwierz znikł.

— Hm! Tygrys! Patrzcie go, jaki śmiały!

— Co! — krzyknął stary i skoczył po strzelbę; ale Dosia rzuciła się na kolana i, wyciągając ręce, zaczęła coś mówić prawie szeptem.

— Co ona gada? — pytam starego.

— Ot, głupia!... Prosi, żeby nie chodzić. Mówi, że to napewno śmierć przyszła po nią, jak po Antosię w przeszłym roku.

Zacząłem ich przekonywać, że to tygrys, że takich niemało widziałem na wyspie Jawie. Ale gdzie tam, nie chcieli wierzyć, nie chcieli słuchać i zatykali mi usta, kiedym zaczął opowiadać, jak na tego zwierza polują.



— Milcz, jeszcze usłyszysz i rzuci się na ciebie, gdy będziesz wracał do obozu.

Nie chcieli mnie puścić, ale się uparłem, gdyż o północy miałem iść na wartę; wziąłem tylko latarnię ze sobą. Z latarnią można iść bezpiecznie nawet między tygrysy. Przychodzę do obozu, a tam siedzą u ogniska i o niczem nie wiedzą, szyldwach chodzi w ciemności i nawołuje. Poszedłem zdać raport naczelnikowi.

— Eh — mówi — może nie przyjdzie; dotychczas nie bywał w tej stronie.

— Ba!... bo miał krowy.

— Więc dobrze. Załóż bagnet na karabin, ale nie strzelaj, chyba w ostateczności. Pamiętaj, jakiego djabeł śpi w tej kupie. Od byle wstrząśnienia wszyscy możemy wylecieć w powietrze!

Było mi jakoś z początku nieswojo. Dokoła milczały czarne lasy, wdali bieleła wioska. Ognie wszędzie pogasły. Coraz bardziej było mi nieswojo. Chodziłem tam i napowrót, aż opadły mnie złe myśli, ogarnął strach. Każdy cień wydawał mi się podejrzany. Nie mogłem wytrzymać i wlałem na kupę beczulek z dynamitem, ażeby rozejrzeć się lepiej. Serce biło mi jak młotem. I wydało mi się, że coś wysunęło się z pod lasu i znikło w trawie. Wytrzeszczam oczy, nadstawiam uszu — nic nie widzę. Nagle... tuż pod nogami spostrzegam dwa ślepie gorejące, niby dwie latarnie... Podnoszę broń do ramienia i czekam; a on grzbiet wygiął, łapy pod siebie podbrał, ogonem bije w ziemię, gotuje się do skoku!... Wtem, jakgdyby kto mnie obuchem palnął

w głowę, przypominam sobie, co mam pod nogami. Choćbym nawet nie strzelał, niechby tylko skoczył między beczki, Bóg wie, coby mógł narobić!... Jednej chwili, sam nie wiem jak, znalazłem się na ziemi, o kilka kroków od tygrysa. Bagnet wytknąłem przed sobą. Zwierz podniósł się, mrużąc, i przysiadł; łbem wstrząsnął, łapą powietrze rozgarnął i w bok skoczył, chciał mnie zająć z tyłu. Ale ja szedłem w nim, bagnet wciąż przed sobą trzymając. W blasku księżyca stał ostrza świeciła się jak płomień. Może się zląkł, może to wziął za ogień, dość, że cofał się, a ja szedłem na niego... I tak długa upłynęła chwila. On oczów ze mnie nie spuszczał, a mnie mgła jakaś zaczęła otaczać i zdawało mi się wkońcu, że to nie zwierz, a jakieś kule ognisto-zielone toczą się przedemną. Bałem się krzyknąć, a świstawki do ust podnieść nie mogłem, bo przeszkadzał mi karabin. Nakoniec światło zabłysło w obozie, ludzie się poruszyli; tygrys odwrócił się i odszedł, nie śpiesząc.

Zacząłem krzyczeć: tygrys!... tygrys! Przybiegli z latarniami i resztę nocy chodziliśmy we dwóch. Nazajutrz nasz naczelnik zgromadził wszystkich majtków i ludzi miejscowych i urządził obławę na tygrysa. Wytropiliśmy go i zabili; a ci, którym krowy pozjadał, takimi w lesie okazali się śmiałkami, że myślałem, iż go żywego brać będą... Skórę zabrał naczelnik, a nas obdarzył suto. Gdym tego wieczora położył u Grzegorza garść złota na stole, Dosia oświadczyła mi zaraz, że pójdzie za mnie zamąż.

Bum!... bum!... bum!... zabrzmiał dzwon okrętowy.

— Zmiana trzecia!

— I cóż i cóż, co się stało?... — dopytywali się wszyscy, pomagając Dickowi wdziać ubranie.

— Co się stać miało?... Byłbym się ożenił i został na zawsze w Usuryjskim kraju, ale przyjechał urzędnik, odebrał transport, więc kazano nam wracać do Frisko ¹⁾).

III.

Choć wszystko wydawało się niewzruszonym, jednakże, obserwując położenie gwiazd, łatwo można było zauważyć powolne, lecz stałe posuwanie się na północ. Widocznie szeroki prąd morski unosił ku biegunowi całą skorupę lodu z wrośniętym w nią okrętem. Pozostało już tylko pięć stopni. Kapitan postanowił przebyć resztę na nartach. Według jego dowodzenia, prąd zataczał półkole, które tu dosięgało największego wygięcia. Dalej mogło nastąpić już cofanie. Kapitanowi miało towarzyszyć czterech majtków, a w ich liczbie Dick. Przygotowania zainteresowały wszystkich; chwili odjazdu oczekiwano w wielkiem podnieceniu.

Gdy w wilję dnia tego majtkowie zebrali się w swojej kajucie, wszyscy tłumnie otoczyli Dicka.

— Możebyś wziął mój kaftan? — pytał jeden — grubszy, a więc cieplejszy jest od twego.

¹⁾ San Francisco.

— Mister Dick, ja myślę, że mój nóż jest lepszy...

— O Dicku, któż nam tu będzie opowiadał o południu, o słońcu, o wesołym życiu?!...

— Mister Dick musi gadać, jak był król... gdy ona przepadnie, nic wiedzieć nie będzie... — dowodził Li.

— Racja!... zgodził się Dick. — Dlaczego mielibyście stracić z mojej przyczyny?... Opowiem wam więc dziś naostatku ładną historyjkę... Będzie tu dużo słońca, a w dodatku... wszystko prawda!... Czy zgoda?...

— O tak!... Byłeś Dicku zawsze dobrym towarzyszem!...

— Cicho!... Słuchajcie!...

— A więc panowie, jesteśmy w środkowej Afryce... ja i Tom, rozumie się...

Wszyscy spojrzeli na olbrzyma, który stał na swoim miejscu z fajeczką w zębach.

— ...I nic nie mamy prócz mokrej odzieży i noży za pasem, tylko co bowiem rozbiliśmy się o rafy koralowe.

— Brawo!... Rozbili okręt w Afryce Środkowej... — krzyknęli słuchacze.

— Cicho!... nie przeszkadzajcie...

— ...Tom, naturalnie, zachował swoją fajeczkę, której, rozumie się, nie wypuszcza z zębów, a ja, ponieważ nie mam fajeczki, gapię się wciąż z otwartymi ustami. Idziemy doliną piaszczystą, żółtą jak kanarek, a błyszczącą od słońca, jak miednica. Po bokach sterczą skały czerwone jak ogień; nad nami niebo jak balja wody zafarbko-

wanej. A taki skwar, że z naszego ubrania dymi się jak z komina parowca... Całe szczęście, że było mokre, inaczej zatliłoby się... Idziemy prędko; gorący piasek parzy nam pięty. Po drugiej stronie doliny las potężny, ciemno-zielony, wabi nas. Drzewa tam wysokie jak dzwonnica, a obszerne jak kościół; masa pnączy; cienisto i chłodno; aromat taki jak w sklepie korzennym; kwiaty, owoce, a wśród nich uwijają się mały, zwierzątka, fruwią ptaki barwne jak motyle i motyle wielkie jak ptaki; wrzeszczą papugi; chichocą jakieś nieznane dziwotwory. Wszystko w porządku, jak gdybym w książce czytał! Chcieliśmy odpocząć na brzegu lasu i zjeść cokolwiek, ale ledwiem wyciągnął rękę do złotego owocu, Tom odtrącił mnie.

— Bój się Boga, to trucizna! — zawołał.

Chciałem tedy dla pocieszenia się powąchać kwiatek.

— Nie rób tego: umrzesz.

Siadam z rozpaczy na ziemi.

— Ostrożnie! Usiądź wyżej, tam może być tarantula lub skorpion.

Na drzewie, tuż nad nami, zobaczyłem szkaradnego węża. Oj, lody! pocziwe lody! Czemuż was tam nie było? Staliśmy na brzegu lasu pełni obawy. Co robić?...

— Cóż pocniemy, Tomie?... Tu wcale niema ludzi.

— A co gorsza — odpowiada mi Tom — tu nawet niema sklepiku z tytoniem.

— Jesteś samolub!... Wciąż tylko myślisz o swojej fajeczce.

— Bóg świadkiem, że nie. Myślę właśnie o Murzynie, z którego możnaby zrobić sługę.

Miałem wtedy dowód, że Tom kocha mnie jeszcze, poszliśmy więc polować na Murzynów. Zraz moskity opadły nas z żarłocznym brzęczeniem. To była najgorsza plaga nasza, udało nam się bowiem ominąć boa, który siedział owinięty dokoła gałęzi, a tygrys... jeszcze nie był wrócił z Usuryjskiego kraju. — Z trudem przełaząc przez gałęzie, zagłębialiśmy się w las. Tu panował zielonawy mrok i niezmacona cisza. Nakoniec, zmęczeni, usiedliśmy na powalonym pniu. Ja wyciągnąłem się wygodnie, a Tom, stosownie do swego zwyczaju, przedewszystkiem zapalił fajeczkę. Lecz nie zdążył nawet pociągnąć z niej, gdy rozległ się ogłuszający wrzask. Tom, zdziwiony, wyjął fajkę z ust; ja zdrętwiałem ze strachu. A tymczasem wrzask się powtórzył... I z drzew na ziemię zaczęli ludzie skakać i padać, jak dojrzałe gruszki... Pochowali się w krzaki i znowu cicho!... Tylko w jednym miejscu szeleści... Po chwili wylazł stamtąd na czworakach ogromny Murzyn, czarny jak węgiel, zupełnie bezbronny... Zamiast odzieży miał tylko pęk piór różnobrawnych we włosach, w nosie kolczyk, a na szyi — naszyjnik z ludzkich zębów... Był to wódz! Za nim sunęła na czworakach cała armja; lecz ostrożnie zatrzymała się w bliskości krzaków, a tylko wódz, wzór odwagi, czołgał się dalej. Nareszcie schwycił Toma za nogę i z jękiem

postawił ją sobie na głowie. Byłem już pewien, że będziemy mieli obiad, a nawet, że moglibyśmy wziąć do niewoli tego samego wodza z całą jego armją... Schyliłem się więc, podniosłem go i potarliśmy się nosami; a że był dobrze wychowany, więc kichnął. Poczem rozmówiliśmy się na migi. Powiedział, że jest królem wioski Lu-la-lu i że bardzo pragnie potrzeć nos o nos Jurka z fajeczki Toma. Dałem mu do zrozumienia, że to rzecz niezwykle bezpieczna, że należałoby pierwiej przynieść w podarku kozę, parę kur lub kosz bananów. Przyznał słuszność, wszystkiego dostarczyć obiecał, lecz obstawał przy swoim. Podprowadziłem go więc do fajki z wielce uroczystą ceremonją. Szedł śmiało, lecz zaledwie dotknął się świętego przedmiotu, wrzasnął co miał siły i złapał się za nos; wówczas wojsko, w milczeniu bacznie śledzące za wszystkim, drapnęło natychmiast w zarośla.

— Oho! Chciał mnie ukąsić!... Ale niema głupich...

— Dicku, przebrała ci się miarka!... Zapominasz, że nie umiesz po murzyńsku — ostrzegął Tom z uśmiechem.

— To tak: wtedy nie rozumiałem, alem się później wszystkiego domyślił... Następnie król palnął nam mówkę, przetańczył pobożny taniec i ruszyliśmy do wsi w otoczeniu skaczących i wyjąjących wojowników, uzbrojonych w łuki i dzidy, które zaraz z krzaków wywlekli.

Przy wejściu do wsi przyjął nas wielki czarownik z bębniami; powiedział także mówkę, tro-

chę przydługą dla nas zgłodniałych, i kilkakrotnie upadł przed nami na twarz. Jednakże nie podobał mi się od pierwszego razu: zanadto starannie obmacywał naszą odzież, a leżąc na ziemi, patrzył chytrze z podełba. Miał jedno oko, ale takie przebiegłe!... Zaproponowałem mu, żeby przyłożył nos do fajeczki Toma, ale nie chciał; pewnie mu powiedzieli o przygodzie króla. Trzeba było myśleć o zdobyciu jak największego uznania publiczności. W tym celu, nie zwlekając, posadziłem Toma na wielkim bębnie, pod cieniem przesłicznej palmy, nałożyłem mu fajeczkę i kazałem palić. Wszyscy w jednej chwili upadli twarzą na ziemię, a w minutę później kobiety przyniosły owoce, ptactwo i kozy ofiarne. Obejrzałem, czy były w dobrym gatunku i przyjąłem w imieniu bóstwa. — Odtąd codzien powtarzała się ta sama ceremonia. Tom siadał na bębnie i zapalał fajeczkę; kiedy nam zbrakło tytoniu, musiał palić liście. Jeśli sprawował się dobrze, nie dokuczał mi, nie sprzeczał się, nakładałem mu fajeczkę wonnemi listkami; jeśli był nieznośny, musiał palić różne obrzydliwości.

— Słuchaj, Dick, za dużo sobie pozwalasz!... — oburzył się Tom.

— I nie śmiał odmówić — prawil dalej Dick, nie zwracając uwagi na protest przyjaciela — gdyż byliby nas zjedli nasi „wyznawcy“... Tak, moi panowie, ze wstydem wyznać muszę, że to byli ludożercy... Pomimo to, niezgorzej nam się u nich wiodło. Dali nam najlepszą we wsi chałupę i codzien składali ofiary; przynosił je nawet czarow-

nik Tu-tucha-cha. Wprawdzie wszystko, co od niego pochodziło, było złe, ale udawałem, że tego nie widzę. Przekonałem się wkrótce, że czyhał na naszą zgubę. Postanowiłem przeto nie spuszczać go z oka, co mi zresztą przyszło łatwo, gdyż miałem wielu przychylnych wśród tej czarnej hołoty; od nich dowiedziałem się, że przed naszym przybyciem Tu-tucha-cha miał się dobrze, następnie zaczął bankrutować, gdyż nikt nie przychodził po radę do niego — nasz dym i woda, zmieszana z popiołem tytoniowym, zaćmiły wszystkie jego leki. Stary chodził chmurny i zły, aż mi go żal było. Chciałem więc pogodzić się z nim, przeciągnąć go na naszą stronę. Ale okazało się, że był zagłupi. Zamiast sprzedawać nasze lekarstwo z rabatem, zaczął je fałszować: wypędziłem go więc. Musieliśmy potem bardzo się go wystrzeżać; wódz i lud byli jeszcze po naszej stronie; ale czyż tak zawsze być miało?... Trudno było przewidzieć!... Staliśmy na chwiejnym gruncie miłości naszych „wyznawców“. Przekonałem się wkrótce, jak słuszne były moje obawy... Pewnego ranka, podczas ceremonji palenia fajki, wystąpił największy hultaj we wsi z żądaniem, aby wszyscy mogli się zaciągnąć dymem z cudownej fajeczki i tym sposobem raz na zawsze uwolnić się od trosk i konieczności pracy... Domyśliłem się natychmiast, że to intryga Tu-tucha-cha i zrozumiałem, co nam grozi... Nic nie mówiąc, wyrwałem fajkę z rąk zdumionego Toma i, dmuchnąwszy w nią silnie, wyrzuciłem słup iskier w górę. Dzicy ze strachu popadali na ziemię; następnie

jedni puciekali, drudzy zaczęli niemiłosiernie ki-chać. Stanowisko nasze było chwilowo uratowane, ale niemniej przekonałem się, że niema co zwlekać... Tu-tucha-cha nie mógł nie szkodzić nam, gdyż groziła mu nędza i zguba z naszej przyczyny... Postanowiłem więc gotować się potrochu do drogi: zbierać mięso i suchary, wypatrywać i dowiadywać się o wszystkim... Był jeszcze jeden bodaj najważniejszy powód pośpiechu: straciliśmy łaski u króla!... A stało się to zupełnie niespodziewanie... Przyszedł raz na zwykłą poobiednią gawędkę z nami. Opowiadałem mu o naszym kraju, a kiedy wspomniałem, że u nas w ziemie rzeki i jeziora pokrywają się grubą, twardą skorupą, tak twardą, że po niej chodzić mogą nie tylko ludzie, ale nawet słonie, król zerwał się i zawołał: „Dość tego!... Widzę teraz, że Tu-tucha-cha prawdę mówi!... Kiedyś mi opowiadał, że u was padają z nieba zimne białe płateczki, które pokrywają ziemię tak grubo, iż staje się cała biała, to temu wierzyłem, bo i wy jesteście biali; kiedy mówiłeś, że latacie po powietrzu w koszykach przywiązanych do pęcherza — to i temu jeszcze wierzyłem! — mogłem wierzyć, gdyż jesteście czarownikami i macie fajeczkę... Wierzyłem, w co mogłem... Niech sobie Tu-tucha-cha wątpi... on ma do tego prawo, gdyż pozabawiliście go dochodu... mnie co do tego!... Ale teraz, kiedy śmiesz twierdzić, że bez powodu, od zimna tylko, na wodzie robi się skorupa, po której mogą chodzić słonie, widzę już, że w kłamstwie przebierasz miarę!... Słychane rzeczy!...

skóra na wódzie!... A wiatr?... cóż wiatr?... Jakże będzie wodę kołysał?... Od zimna?... A cóż to, u nas nie bywa zimno w porze deszczowej?... A przecie leje jak z wiadra!... He!... Cóż ty na to?... — Milczałem zdumiony, a król wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. Niedługo wprowadzie pogodziliśmy się; podarowałem mu na zgodę mój zegarek srebrny; ale nawet tak krótkie nieporozumienie wywarło zły wpływ. Ofiary przynoszono coraz marniejsze i coraz mniej licznie zaczęto się zgromadzać rankami. Nie mieliśmy już dawnego znaczenia, nie byliśmy już w modzie. Krążyły szeptki i plotki, które życzliwi natychmiast nam powtarzali, badawczo patrząc w oczy. Ale natomiast Tu-tu-cha-cha poweselał...

W noc ciemną i burzliwą wymknęliśmy się ze wsi i przez lasy puścili w stronę morza. Drogę mieliśmy łatwiejszą, gdyż zawczasu wywiedziałem się o wszystkim; ale za to co było kłopotu z Tomem! Wystawcie sobie, zakochał się w księżniczce...

— Tfu! Co za głupstwa plecie!... — rozgniewał się Tom.

— Przyjacielu, i ty masz serce w chwili rozstania zarzucać mi kłamstwo!... — westchnął żałośnie Dick.

— Bum!... bum!... bum!... — rozległ się dzwon okrętowy.

— Trzecia zmiana!

Majtkowie ze śmiechem poszli do roboty. Dick był wolny, ale musiał raz jeszcze obejrzeć rzeczy,

które brali w podróż, uprzęż i sanie, gdyż pełnił obowiązki starszego majtka w tej wyprawie.

Wieczorem wszyscy zebrali się na wieczerzę pożegnalną, podczas której wesoło wznoszono liczne toasty.

IV.

Cicho było i bardzo mroźno.

Blask zorzy północnej, rozwieszony po niebie w drżących wstęgach, festonach i rąbkach, zbiegł się na zenicie niby pod nagłym wiatru podmuchem, stęzał, rozpałił i utworzył ognisty wieniec przepleciony czarnymi żyłkami. Łuna, idąca za nim dołem, po śniegach i lodach, skupiła się także i oświeciła małą gromadkę marynarzy, żegnających się właśnie z towarzyszącymi. Wszyscy tu byli prócz szyldwacha i ściskali się mocno za rękę; kapitan rozmawiał z oficerami, majtkowie skupili się około Dicka.

— Ja myślę, mister Dick, że panu będzie nudno bez nas — odezwał się Jurek.

— O tak, mój stary, ale zato będzie wesoło zobaczyć was znowu!

— Będzie zimno, wielkie zimno — troszczył się Li. — Na miot nie ma... jedna gwiazda.

— Wszyscy mnie, widzę, żalują, a Tom nawet na mnie nie spojrzy...

Tom rozmawiał z resztą odjeżdżających majtków. Zrobiło mu się przykro, że wszyscy Dickiem zajęci, z innymi żegnali się pośpiesznie, jakby od niechcienia; więc podszedł do nich, a choć mało

mówił, mocno ścisnął im ręce. Nawet rudy Jack, złośliwy i zazdrosny, był wzruszony serdecznością Toma i przyjaźnie zatrzymał dłoń jego.

— Już czas!... Ruszajmy!... Bywajcie zdrowi!... Na nas czekajcie!... — zawołał nakoniec kapitan.

Dick zabrał się do psów, które pokładły się w uprząży, uszykował je i świsnął. Psy pobiegły ze szczekaniem, wlokąc za sobą ciężko ładowne sianie; za niemi na wąskich, długich nartach, podpierając się kijem, ruszyli członkowie wyprawy.

— Powodzenia, kapitanie!... Wracajcie zdrowi i cali!

— Niech sztandar Ameryki powieje, jak można najdalej.

— Hurra!

— Dziękuję!... Postaramy się!...

— Bywajcie zdrowi!

Oddalali się coraz bardziej; głosy ich milkły, postacie rozplywały się w ciemnościach i mgłę. A w ślad za niemi biegły po śniegach fale rozkołysanych blasków zorzy. Pozostający nie ruszali się z miejsca; czekali, aż znikną zupełnie. Raz jeszcze ukazali się na szczycie pierwszego lodowego zwału, a potem skryli się za jego ścianą. I długo nie było nic widać; aż znowu daleko na widnokręgu, w purpurowym świetle zorzy ukazały się czarne punkciki na zrębie lodowego urwiska, a Jurek, który miał słuch nadzwyczaj ostry, pochwycił dźwięk jakiś, niby skrobanie myszy za grubą ścianą, lub posuwanie się drobnego robaczka po ogromnym srebrnym półmisku.

Marynarze powrócili w milczeniu do okrętu,

którego ognie połyskiwały samotnie wśród bladej mgły i lodów, niby gromadka gwiazd z nieba spadłych.

Nazajutrz wszystko wróciło do zwykłego trybu; tylko czas upływał im niezwykle leniwo. Obowiązki swoje każdy spełniał sumiennie, lecz bez zamięwiania. Zebrania wieczorne nie udawały się. Senność i apatja wypełzły ze swego ukrycia i rozgościły się na okręcie. Mr Will, tak sprężysty w czasie burzy na morzu, czuł się bezradnym wobec tego zjawiska; gładził tylko łysinę i wzruszał ramionami. Drugi oficer, wiecznie chmurny, Nordwist, ożywił się tylko na widok narzędzi fizycznych; w kajucie załogi milczał i spacerował z kąta w kąt; doktor zaś co wieczór zamykał się u siebie i pisał powieść. Cóż mieli robić majtkowie? Ziewali i szli spać coprędzej.

— Znowu siedzicie ze spuszczonei nosami!... Zaśpiewalibyście, albo urządzili teatr amatorski... Weźcie się do czego!... — napędzał ich mr. Will.

— A może doktor zechce nam co przeczytać ze swojej powieści?...

Doktor gotów był czytać, ale Li zaprotestował.

— Dick niema...

— Cóż Dick?... przecież on nie początek i nie koniec świata. No, Tomie, wymyśl nam cokolwiek...

Tom z wystraszoną miną prostował się i żałośnie spoglądał na towarzyszków.

— E... nic z tego!... Będziemy czekali...

I czekali, rozmawiając o nieobecnych, o tem, gdzie się znajdują i co robią — niezdolni myśleć

o czym innym, jak gdyby wszystko inne mało ich obchodziło prócz gawęd, domysłów i śledzenia na mapie za tem, gdzie przypuszczalnie znajdować się mogła wyprawa.

— Jeśli codziennie robili tylko 10 mil, to muszą być tu...

— Tak, ale po lodzie nie tak łatwo chodzić! Trzeba zbaczać... sędzę więc, że są znacznie bliżej!...

Zaczynała się sprzeczka, często namiętna i długa, która zazwyczaj kończyła się oburzeniem i gniewem.

— W każdym razie, powinniśmy już wracać!... — wzdychał mr. Will. — Kapitan mówił, że dłużej nad miesiąc nie zabawi.

Tymczasem oznaczony termin minął, a ich wciąż widać nie było. Wszystkimi zawładnęła pałająca tęsknota, nawet doktor zaprzestał swego pisanja. Majtkowie, bez względu na trzaskający mróz, całymi godzinami wystawali na pokładzie statku, nasłuchując, czy jaki dźwięk nie doleci ich uszu wśród tej grobowej ciszy.

Nareszcie pewnego wieczoru, kiedy właśnie nikt ich nie oczekiwał, sztydłwach uderzył w dzwon.

— Idą!

Na pół ubrani wyskoczyli wszyscy z kajuty.

— Co takiego? Nie może być!... Idą?...

— Idą!

— Gdzie?... Sanie nie skrzypią, psy nie szczekają...

Może niedźwiedź przekrada się wśród lodów?

— Słyszycie?...

W milczeniu natężyli słuch... Istotnie, zdala doleciał ich krzyk jakiś, czy stukanie... Chcieli natychmiast iść w kierunku dźwięku, ale mr. Will wstrzymał ich.

— A jeśli niedźwiedź?... Czterech niech weźmie karabiny, rusza naprzód!... Reszta czekać!... Na kogo tam kolej?...

Lecz pierwaj, nim wyznaczeni majtkowie stanęli gotowi do drogi, z za wzgórz lodowych wysunęły się cztery ludzkie postacie. Na ich spotkanie, nie słuchając już rozkazów, wybiegli wszyscy, nie wyłączając mr. Will'a.

— Zdrowi? Cali?

— Gdzie psy? Gdzie sanki?

— A gdzie został piąty?

— Kogo niema?

— A daleko dotarliście?

— Pewnieście słabi i zmęczeni?

Zarzucali przybyłych pytaniami, chwytając za ręce i ściskając, bez różnicy, majtków i oficerów.

— Poczekajcie!... Dajcie dojść na miejsce! Nie jedliśmy już dni kilka... Wina choć kropelkę!...

— Zaraz!... Lećcie!... Nieście!...

— Do biegun!... ho! ho! łatwo powiedzieć! Zrobiliśmy tylko mil 200. W polach szczeliny... trzeba było okrążyć... Sanki złamały się... porzuciliśmy... psy zjedliśmy. A Jack... został. Wszystko wam opowiemy... po trochu.

W milczeniu weszli na okręt. Wychudli, zmęczeni, poprosili zaraz o kąpiel i czystą bieliznę. Doktor zbadał uważnie stan ich zdrowia i nic nie

znalazł prócz zmęczenia i lekkich odmrożeń. Ra-
dził im jednak zaraz położyć się do łóżka, a opo-
wiadanie na później zostawić.

Nazajutrz kapitan oświadczył się z gotowością
dania krótkiego sprawozdania z podróży. Opo-
wiałał zwięźle, jak przedzierali się przez góry lo-
dowe; jak cierpieli od zimna i braku ciepłego po-
karmu; jak znaleźli ślady lisa, wskazujące, że
tam, na północy musi być ziemia; jak postanowili
wrócić, nie dotarłszy do niej... Gdy doszedł do
choroby Jack'a, wzruszenie nie dało mu mówić...
Dalszy ciąg opowiadania odłożono na później...

A nazajutrz wszystko już poszło zwykłą koleją.

Po obiedzie majtkowie zebrali się w swojej ka-
jucie. Dick leżał w hamaku z zamkniętymi oczy-
ma. Nie śmieli przeszkadzać mu i cicho szeptali
po kątach. Wreszcie on sam odezwał się do nich:

— Nic wam dzisiaj nie powiem, towarzysze...
kiedyindziej!... Myślę o Jacku... Był złośliwy i czę-
sto kłócił się z nami, ale teraz leży tam, daleko,
porzucony wśród lodów na pożarcie niedźwie-
dziom... Zachorował nam zupełnie niespodzianie...
spuchły mu nogi... nie mógł iść... Psów nie mie-
liśmy już wtedy, więc zrzuciliśmy z sanek część
zapasów, położyli go na nich i ciągnęli... Jęczał,
majaczył, rwał odzież na sobie, odkrywał piersi,
nakoniec ucichł — na zawsze!... Owinęliśmy go
w gwiazdzisty sztandar i położyli na zrębie lodo-
wego urwiska... Nie mieliśmy już sił grobu wy-
kopać... Do okrętu pozostało nam jeszcze mil
z 50... Biedak tęsknił bardzo do ojczyzny i w ma-
lignie wciąż mówił o Frisko.

— O Frisko!... Pytanie, czy je ktokolwiek zo-
baczy!... odezwało się wielu.

— Niech wam język uschnie! Jak możecie ta-
kie rzeczy gadać! — energicznie zawołał Dick,
zrywając się z posłania. — Myśmy też gwiazdy
w drodze mierzyli i wiemy, że lody zwróciły się
na południe... Dlatego właśnie nie dotarliśmy do
bieguna!... Kapitan postanowił wracać!...

V.

— Lody mogą znowu zwrócić się na północ.
Dlaczego kapitan milczy i na co czeka? Czas
upływa... Okręt prawie rozbity... — sarkafa po
kątach załoga.

Niepokój znowu ich trawić zaczynał. Nawet
oficerowie milczeli posępnie, gdy kapitan mówił
o rzeczach, nie mających z powrotem nic wspól-
nego. Wesoly Dick przestał żartować. Ponury
nastrój wzmagał się jeszcze, gdy w nocy przeraź-
liwie wyły psy, które na wiosnę w dodatku ciągle
się między sobą zajadłe gryzły. A kiedy stało się
wiadomem, że lody istotnie zawróciły na północ,
niezadowolenie załogi groziło formalnym bun-
tem.

— Co on chce z nami zrobić?!... Czyż dlatego,
że wzięliśmy pieniądze, mamy umierać?! hałaso-
wali majtkowie, zebrani w kajucie.

— Kiedyż nareszcie djabli wezmą ten prze-
klęty parowiec? — krzyknął Smith, mały, szczu-
pły brunet.

Życzenie to wywołało niespodziewane wrażenie. Marynarzom zrobiło się żal pięknego statku, z którego byli niegdyś tak dumni; umilkli więc i rozeszli się strapieni.

Nazajutrz kapitan rozkazał całej załodze zebrać się na pokładzie. Majtkowie w futrzanych bluzach, podpasani i zapięci, z rękami wyciągniętymi wzdłuż ciała, uszykowali się w dwa szeregi. Na boku stanęli oficerowie. Zbliżało się południe. Nad lodami zajaśniał blad różowy świt, który już od kilku dni przerywał jednostajność podbiegunowej nocy. Wszyscy z natężeniem wpatrywali się w twarz kapitana, niewyraźnie rysującą się w szarem świetle.

— Majtkowie — przemówił on — zauważyłem wśród was pewien niepokój. Dotychczas nie mogłem się skarżyć na was; obowiązki swoje spełnialiście dobrze. Wiecie zresztą o tem, że ja nie dopuściłbym żadnej opieszałości. Ale obecnie nie widzę poprzedniego zapału... Tymczasem nadchodzi wiosna; lody pękają. Mam zamiar szukać dalej przejścia... Zobowiązania nasze uważam za niespełnione... Nie wątpię, iż wśród was niema takiego, któryby zgodził się porzucić statek cały i nieuszkodzony, nie wyczerpawszy poprzednio wszystkich środków. My pójdziemy, musimy pójść dalej...

— Okręt leży rozbity!... Po mocnych, zimowych lodach moglibyśmy daleko posunąć się na południe!... Życie każdemu miłe!... — zaczął cicho mówić Smith, stopniowo głos podnosząc.

Kapitan umilkł i wpatrzył się w mówiącego,

jak gdyby go nie rozumiał. Marynarze wstrzymali oddech.

— Bosman — rzekł wreszcie kapitan — załkuć Smitha w kajdany i odprowadzić na dno okrętu!

Nie dodał nic więcej, tylko odpiął futerał rewolweru. Wśród oficerów powstał ruch. Tom wystąpił z szeregu; dolna szczęka widocznie mu drżała. Zrobił zwrot na lewo i sztywnym, żołnierskim krokiem podszedł do towarzysza.

— Chodź!... poddaj się!... — szepnęła, lekko trącając go w ramię.

Smith rozgorzałym wzrokiem powiódł po obecnych i ruszył, spuściwszy głowę. Zeszli na dno okrętu, gdzie rzadko kto chodzi i gdzie mieściła się pośledniejsza część zapasów. Zimno tam było i tak ciemno, że noc podbiegunowa mogła się wydać przejrzystym porankiem w porównaniu z tą ciemnością.

— Czyż światła nie zostawicie mi? — zapytał Smith.

— Nie wiem... muszę spytać kapitana... Potrzeba było...

Tom nie dokończył i pośpiesznie zaczął szukać czegoś między beczkami. Smith patrzył ze złością, jak olbrzymi cień jego, odrzucony przez światło latarni, przesuwają się po niskim stropie.

— Szuka pewnie łańcuchów... Słyszane rzeczy!...

Istotnie, nikomu nie przyszło do głowy, że kajdany mogą być potrzebne, i niepodobna było ich znaleźć. Daremnie Tom przerzucił wszystko —

łańcuchów nie znalazł. Pełen strachu, szedł zawiadomić o tem kapitana. Zastał go w kajucie, pogrążonego w papierach. Kapitan, nie odwracając głowy, zapytał majtka:

— Zamknąłeś go?

— Tak jest, kapitanie!

Tu urwał i odchrząknął. Kapitan gładził wąsy i czekał.

— Tam pewnie bardzo zimno? — zapytał trochę łagodniej.

— Zimno, kapitanie!... Zimno, wilgotno i ciemno... Prosił, żeby mu zostawić latarnię...

Kapitan zatrzymał rękę u końca wąsa.

— Nie — rzekł porywczo — nie mogę pozwolić... — Zanieś mu pościel i ciepłe ubranie!

Tom chwilkę powstał: nie miał jednak odwagi wspomnieć o kajdanach i wyszedł stroskany.

— Cóż? Zwolnił?... — pytali, obstąpiwszy go, majtkowie.

— Tego już nadto!...

— Smith prawdę powiedział: każdemu życie miłe!...

— Albo ja wiem!... Trzeba będzie prosić mr. Will'a — zdecydował Tom.

Poszedł do niego, a inni udali się do doktora i zaczęli mu rzecz przedkładać. Następnie Will, doktor i Nordwist zamknęli się u siebie na naradę.

Smith tymczasem rozmyślał, rzuciwszy się twarzą na paki. Skażą go na chłostę albo i gorzej... W każdym razie czeka go hańba... Przepadła jego dobra sława... Wszyscy we Frisko zaraz się dowiedzą... Mówią o nich i o najmniejsze wywiadują

się szczegóły... Widział w duszy szerokie ulice rodzinnej miasta, rojące się tłumami postrojonych ludzi... wszyscy stronili od niego... pokazywali go palcami... Znajomi nie poznawali go... Och, gdyby ci tchórze poparli go byli, gdyby wszyscy powiedzieli jednogłośnie, że chcą wracać... wtedy kapitan musiałby się zgodzić, a potem jeszczeby im dziękował... Dziękował?... Chyba nie!... Nie ustąpiłby! On nie taki, jak inni, on jak mur!... Prędeż dałby się zabić!... Ale z nim trzeba by zabić Will'a, Nordwist'a, doktora, Toma i Dicka... i wszystkich, bo wszyscy z nim trzymają... Podli kłamcy!... Po kątach to gadają, a gdy przyszło do rzeczy, opuścili go... Już wtedy byli przeciw niemu, gdy przeklął „Nadzieję“. A co za korzyść z podłego okrętu, leżącego na morzu, jak zgniła ryba?... Wszyscy zginą z nadejściem lata!... Dlaczego nie chcą ratować się?... Na co im te odkrycia, mapy, sława, jeśli mają umrzeć?... Przecież nikt się nie dowie, co zrobili... Czyż nielepiej uratować siebie i to, co już mają?... A wszystko zgubią i siebie nie uratują!... Z sobą mają prawo robić, co chcą... ale on, Smith, żyć pragnie... szczególnie teraz, gdy tyle z pensji zaoszczędził... Porzuci służbę, osiadł pod miastem, kupi fermę i będzie gospodarował... Już widział siebie w dużym słomianym kapeluszu, z krzywym nożem ogrodniczym... Chodził wśród drzew, obciążonych owocami — wszędzie były kwiaty... Słońce świeciło, pszczoły brzęczały, motyle latały... Wśród drzew białął domek z czerwonym dachem i zielonemi okiennicami... Słychać było śmiechy biegną-

cych dzieci... pędem zbliżają się ku niemu — to syn i córka... Dziwny człowiek ten kapitan!... Jota w jotę to samo widział u niego w willi podmiejskiej... Był tam posłany przed samem odejściem statku. Pamiętał łagodne spojrzenie czarnych oczu żony kapitana, dziwnie przyjemny dźwięk jej głosu... Kapitan jest dumny, uparty, zarozumiały, bierze dużą pensję i dlatego pewnie chce wszystkich utopić... Gotów był go zabić; widział przecież, jak odpinał rewolwer... Może myśli, że przez śmierć swoją zbogaci żonę i dzieci... Zapewne Towarzystwo nie będzie skąpiło wynagrodzenia, ale on, Smith, nie ma nikogo... Jedyna więc pociecha, że wszyscy oni z nim razem zginą pod lodem...

Wszedł Tom z pościelą i futrem. Chwilę postął, jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale Smith twarzy ku niemu nie obrócił i nie odezwał się na jego chrząkanie. Tom westchnął i wyszedł.

— Podły, nikczemny służalec! Teraz się kręci i udaje dobrego, a na pokładzie milczał, jak ryba... A jednak przedtm wszyscy się zgadzali, że każdy ma prawo bronić swego życia. Przecie on bronił swego i ich życia, a oni go wydali... A gdyby się udało, wszyscyby go wynosili pod niebiosa!... Postąpili z nim podle... są łotry... wszyscy bez wyjątku!...

Powtarzał to sobie nieustannie, a w miarę jak się uspakajał, coś w głębi jego serca poczynało protestować przeciw temu słowu.

— On nie winien... on miał prawo... ale widocznie... istnieje jeszcze inne prawo, prócz prawa życia — i inna prawda. — I nagle dotych-

czasowe jego pojęcie o prawdzie rozpołowiło się: zdało mu się, że muszą być dwie prawdy — prawda życia i prawda obowiązku; nie umiał jednak połączyć ich i bił się z myślami. Prawda obowiązku wydawała mu się także jakoby prawdą życia. Czyż ludzie bez niej mogliby pracować wspólnie, a nawet żyć po sąsiedzku?... Czytał coś o tem... Nawet milcząco można się zobowiązać do wielu rzeczy... i oburzać się na innych za lekceważenie takich zobowiązań!... Wszak on sam niedawno gniewał się na Jurka zato, że wziął kozuch bez jego pozwolenia, a przecież Jurek nie obiecywał, że jego kozuszek nie weźmie... Gdyby nie było takiej milczącej umowy między ludźmi, jedni drugim nie wierzyliby, a nawet mordowali się we śnie, choć obowiązkiem każdego jest nikogo nie krzywdzić!... Obowiązek!... obowiązek!... Co mi z tego, jeśli umrę... Nikt wiedzieć nie będzie, że go spełniłem!... No, wiedzieć, to już chyba będą... domyślą się, jeśli nikt nie wróci...

Coraz bardziej plątały się jego myśli. Czuł ogromne znużenie, jak gdyby po wielkiej burzy przebytej na rejach. Zgarbił się, głowę spuścił i po raz pierwszy poczuł zimno; więc nogi w pościel wsunął i nakrył się futrem. Zaczął drzeć, ale budził się co chwila, zawsze z tą samą świdrującą mu w głowie myślą.

Kapitana niepokoiło posępne zachowanie się majtków. Pamiętał dobrze ich twarze w chwili, gdy Tom uprowadzał Smitha. I oficerowie byli jakys dziwni... — Czuł, że na nikogo liczyć nie może... Siedział w swojej kajucie i patrzył w ma-

py, ale nic przed sobą nie widział... rozważał tylko w najdrobniejszych szczegółach każdy czyn, każdy wyraz swoich podwładnych. Tak, bunt tli już od dawna i trzeba temu koniec położyć!

Drzwi otworzyły się i do kajuty zajrzała łysa głowa mistera Will'a.

— Może przeszkadzam?

— Nie, proszę!

— Chciałem z panem, kapitanie, pomówić...

Widzi pan, to trochę za surowo...

Kapitan podniósł się z krzesła.

— Mister Will, kto jest dowódcą tego statku? Ja, czy pan?

— Tak, kapitanie, ale...

— Bez ale! Jeżeli kto jest winien w całej tej sprawie, to pan! Nie umiesz utrzymać powagi władzy. Jesteś za dobry, za poufaty z majtkami. Prości ludzie muszą czuć pana nad sobą, więc albo skasujemy wszelką władzę, albo... Bunt dojrzał w czasie mojej nieobecności...

— Upewniam pana, że nie rozmawiałem z nimi... Choć prawdę mówiąc, myślę, iż Smith ma po części rację.

— Co? Proszę bardzo nie zmuszać mnie do tego, bym także i pana aresztować kazał.

Mister Will poczerwieniał, łagodnie jego oczy błysnęły stalowo; wstrzymał się jednak, a widząc, że kapitan, zajęty czem innym, nie zdaje się zwracać na niego uwagi, wyszedł z kajuty.

W chwilę później wszedł Norwist. Siadł i tak długo milczał, że zniecierpliwiony kapitan zaczął gwizdać jakąś arję.

— Kapitanie — odezwał się nakoniec — sądzę, że kajdany są zbyteczne!

— Hm!

— Tembardziej, że ich nie znaleziono!

— No, rozumie się; w takim razie sprawa przedstawia się zupełnie jasno!

Nordwist umilkł. Kapitan przegwizdał całą arję, zanim młody oficer domyślił się, że wyjść powinien. Doktora kapitan sam wezwał. Pokazał mu język i zasięgnął rady co do swego zdrowia, nadwątłego trochę podczas wyprawy, a tak patrzył na niego, że doktor nie śmiał słowa powiedzieć. Bardzo zły wyszedł z kajuty i bohaterowi swej powieści narobił wieczorem wiele nieprzyjemności.

Tom widział te wędrówki do kajuty kapitana i był ogromnie wesoły; ale Dick nie robił mu wielkich nadziei.

— Ty wszystko widzisz w czarnych barwach — powiedział mu Tom i poszedł zanieść jeść Smith'owi.

Znalazł go leżącego z twarzą ukrytą w poduszce. Postawił przed nim beczułkę, na niej położył deskę, a na desce umieścił miskę i przybory.

Smith leżał i nie ruszał się.

— Zjadłbyś ciepłej strawy, Smith.

— Nie gadam z tobą!... Jesteście nędznicy!... — wybuchnął Smith, ale się podniósł i spojrzął na zupę.

— Nie bądź uparty, zjedz trochę, bo jeszcze zachorujesz. Kapitan miał przecie słuszność. Pomyśl tylko, jakiby to był wstyd, gdyby rozeszła

się pogłoska we flocie amerykańskiej, że my, wybrór marynarzy, porzuciliśmy bez konieczności statek, będący w dobrym jeszcze stanie... Nie przyjąłoby nas na żaden statek.

— Cóż z tego?... Jak umrzesz, to też cię nie przyjmą... Czyż to nie było przykładu, żeby tu, na północy, marynarze opuszczali okręty?...

Tom milczał i w zakłopotaniu skubał futro.

— Wiesz co, Smith, zostawię ci latarnię! Choć kapitan nie pozwolił, ale przy świetle będzie ci weselej...

— Nie chcę, nietrzeba!... Zabieraj, bo zgaszę... Kapitan łotr, a tyś jego lokaj!...

Tom nie słuchał; latarnię postawił, zabrał narzędzia i wyniósł się. Smith krzyknął jeszcze coś za nim, ale światła nie zgasił. Tom widział je świecące przez dziurkę od klucza, gdy sam w ciemności drapał się po schodach.

Nazajutrz, ku wielkiemu zadowoleniu załogi, Smitha przeprowadzono do osobnej kajuty na górę, jasnej i opalanej, umyślnie przez Nordwista w tym celu opróżnionej. Tam on pozostał przez dwa dni. Przez ten czas schudł, zmienił się i gdy kapitan po upływie trzech dni wezwał go do kajuty załogi, wszedł blady, chwiejąc się na nogach.

— Cóż to? Chory jesteś? — spytał kapitan, obrzuciwszy go bystrem spojrzeniem.

— Tak jest, kapitanie!

— Dlaczego nie powiedziałeś?

Smith spuścił głowę. Kapitan patrzył na niego i lewą ręką wąs gładził.

— Niech cię doktor obejrzy...— rzekł wreszcie.

Tydzień przeleżał Smith w gorączce. Uratowało go troskliwe pielęgnowanie towarzyszków. Gdy odzyskał przytomność, zaszło wiele zmian, a i on czuł się też innym.

VI.

Szybko rozrastały się i zabarwiały blaski poranne; jasnością swoją wypełniały całe niebo, a powietrze nasycaly różowym blaskiem. Noc trwała kilka godzin zaledwie; ale mimo to słońce nie pokazywało się jeszcze: przebywało wciąż poniżej widnokregu, ciągnąc za sobą obłok złocistej światłości. Gdy nareszcie wyjrzało przez głęboką szczelinę w lodowych zwałach, sztyldwach uderzył w dzwon. Wszyscy wybiegli na pokład i głośnym okrzykiem powitali dawno oczekiwanego gościa. Dnia tego wesoła uczta odbyła się w kajucie załogi. Wznoszono toasty „za wielkie i wolne Stany Zjednoczone, za marynarkę amerykańską, za Towarzystwo Mórz Północnych, za „Nadzieję“ i jej załogę“; a kapitan... wznosił kielich „za przyjaźń, za zgodę, za spełnienie przedsięwziętego dzieła!“

— Hurra!...

Wszyscy trącili się kieliszkami, za ręce się ścisnęli, nawet całowali.

Tom podszedł do Smitha, który stał na uboczu z pełnym kielichem w ręku.

— Cóż bracie?... Trącimy się?... Bądź wesołej myśli!...

Nie wiedział, co więcej powiedzieć, ale od tej

chwili uwierzył w swoją wymowę, gdyż ujrzał łyzy w oczach marynarza.

— Niedość jeszcze wzmocnił się. Trzeba unikać silnych wyrażań... — pomyślał zakłopotany.

Szczyściem Dick nawinął się tuż pod rękę.

— Hm, Dick, chodźno tu na chwilę!...

— A po co?

Tom kiwnął głową w kierunku Smitha, który już się uśmiechał.

Dick domyślił się w mgnieniu oka

— Ej, stary, wypijemy! — zawołał wesoło. — Przecież będziemy sąsiadami, gdy wrócimy do Frisko i kupimy kolonję. Dzieci nasze poženimy!...

Majtkowie otoczyli ich zaraz i zaczęli wtrącać do rozmowy swoje wesołe uwagi. Smith, od którego po buncie stronili trochę, znalazł się niespodzianie wśród nich. Wieczór upłynął w niezwykłym ożywieniu. Żartowano, śpiewano, grano na fortepianie, nawet tańczono... Jurek, który nie umiał walca, ani polki, uprosił, aby mu pozwolono zatańczyć „swojego“. Mister Nordwist siadł grać „Yankee Doodle“, wesołą, według Jurka, najodpowiedniejszą do płasów melodję. Chłopak, przyspiewując, puścił się „w prysiudy“ i takie szprynce wyrabiał nogami, takie wycinał piruety, że oczarował Amerykanów. Gdy na zakończenie czapkę na środku sali położył i z góry do taktu dłonią w nią uderzył, niby kropkę postawił tańcowi, rozległy się rześiste okłaski.

— Zuch Jurek! — powtarzali majtkowie, kładąc się do snu.

Od tego dnia słońce stanęło nad lodami i, jak

tańcza ognista, foczyło się ponad białymi ich szczytami. Zachodziło na bardzo krótko, zostawiając po sobie taką jasność, że noc znikła, zlała się z dniem w jedno pasmo kryształowe; wreszcie zachodzić przestało. Wszystko wróżyło prędką zmianę. Powietrze złagodniało; zawiąły lekkie wiatry i wstrząsnęły lodowemi szczytami; a kiedy się wzmogły, zakolysało się i pękło olbrzymie pole, w brzeg którego wmarzła była „Nadzieja“. Ocean zbudził się także i zaczął dyseć. W dali rozległ się głuchy łoskot, podobny do strzałów armatnich: to pękały i kruszyły się lody. Łoskot potężniał i zbliżał się z każdym dniem, z każdą niemal godziną.

W końcu maja parowiec otaczała nieduża już wysepka trwalszych lodów; a dokoła, jak okiem sięgnąć, wśród nieustającego łoskotu, plusku i chrzęstu, wirowały bryły, kry i góry. Nakoniec jednego ranka parowiec zadygotał tak gwałtownie, że wszyscy nawpół ubrani powyskakiwali na pokład. „Nadzieja“ poruszyła się; lód pękł pod nią i zwolna się rozsunął, tworząc głęboką szczelinę.

Takich szczelin i rysów było dużo na całym polu, więc część majtków rzuciła się ratować od zatonięcia złożone na lodzie zapasy. Reszta pozostała na okręcie, gotując się do walki. Teraz dopiero załoga pojęła, jak rozumnem było rozporządzenie kapitana, dotyczące usunięcia brył, przymarzłych do boków okrętu. Bryły te mogły naruszyć równowagę statku i zatopić go. Parowiec tymczasem **łagodnie zsunął się do wody i zakolysał na niej**

pięknym ruchem spuszczonego na swój żywioł statku. Majtkowie z radością poczuli znowu chwiejny pokład pod sobą, ale kapitan nie taił troški. Śledził bacznie za ruchami lodów, kazał rąbać bryły i staczać je do szczeliny, w której chwiał się zamknięty statek. Chciał w ten sposób osłabić siłę uderzenia w razie, gdyby się znowu zwały brzegi lodów. Rzeczy musiano też ciągle z miejsca na miejsce przenosić, gdyż pole lodowe rysowało się i kruszyło na coraz drobniejsze kawałki. Oficerowie i majtkowie pracowali bez wytchnienia. Była chwila, że myślano, iż lody rozstąpią się i wypuszczą „Nadzieję“ z tej zimowej obręczy na bardziej swobodne przestrzenie; ale chwila ta trwała krótko. Lody zwały się znowu i poczęły tak gwałtownie cisnąć okręt, że groziło mu zgruchotanie. Brzegi szczeliny schodziły się i rozchodziły niby ostrza nożyc, ściskanych niewidzialną ręką. Statek chwiał się, pochylał, aż wreszcie pękł z głuchym trzaskiem. Pęknięcie szło przez cały pokład i świeciło w bokach okrętu. Kapitan kazał spuścić szalupy i wyładować pozostałe zapasy żywności. Rozkaz wykonano szybko i składnie.

Załoga, rozdzielona na trzy części pod dowództwem trzech oficerów, skupiła się w milczeniu u swych łodzi. Naczynia kuchenne, apteka, narzędzia astronomiczne, księgi okrętowe — wszystko ułożono starannie na sanki, zaprzężone w psy, i powierzono Dickowi.

Kapitan obchodził oddziały, oglądał łodzie, ich maszty i żagle; sprawdzał ze spisem w rękę, czy wszystko zabrano. Każdy majtek wziął dwie

zmiany bielizny, dwie pary butów i jedzenia na dwa miesiące. Resztę kazano im zostawić. Niechętnie rozstawali się z drobiazgami, do których przywykli.

— Wolno zabrać tylko listy, fotografie krewnych i notatniki do zapisywania wypadków — przestrzegwał kapitan.

— Doktorze, nie mogę pozwolić na to, żeby pan zabierał taką grubą księgę.

— To mój romans! Sam nieść go będę, oprócz przypadającego na mnie ciężaru...

— Choćby nawet!... Siły pańskie nie do pana obecnie należą... Proszę zostawić!

Odwrócił się i poszedł dalej, a doktor z kwaśną miną zaczął szukać miejsca, gdzieby złożyć swój utwór. Nie chciał go rzucić byle gdzie, więc wybrał zagłębienie w jednej z brył lodowych. Jednocześnie marynarze poczęli wypróżniać napchane kieszenie i wyrzucać różne drobiazgi z tłumoczków. Tom stał w pierwszej grupie i oczu mgłą zaszyłych nie spuszczał z „Nadziei“.

— Co to? — spytał kapitan, zatrzymując się przed nim i palcem dotykając odstającego miejsca na piersiach, za bluzą. — Powiedziałem: tylko fotografie, listy i notatniki...

Tom obejrzał się, a widząc, że wszyscy wyrzucają drobiazgi, zmieszany, wyjął z zanadru swoją fajeczkę w drewnianym futerale. Żał mu też było rzucić ją pod nogi, więc rozglądał się za dogodnym miejscem; spostrzegł to Dick i krzyknął:

— O, tu!... Połóż, gdzie leży powieść dokto-

ra!... Będzie jej weselej w sąsiedztwie uroczej Alicji!

Tom odwrócił się, ale w tej chwili lód zakołysał się pod jego nogami.

— Tonie... tonie... zaraz zniknie!... — szeptali marynarze.

Istotnie! Lody, podtrzymujące „Nadzieję“, rozwarły się i statek zaczął pogrążyć się szybko. Upłynęła zaledwie chwila, a na powierzchni czerniał już tylko jego koniec i maszty; lecz i te wkrótce znikły. Mniejsze kry i drobne odłamki lodu, szeleszcząc i tłukąc się o siebie, zakotłowały się w utworzonym przez statek wirze. Z okrętu zostały tylko trzy łodzie, ludzie i stos śmieci na zwałach lodowych. Nad nimi wznosiły się blade niebiosa, a dokoła zwycięsko szumiał ocean, wiał wył i gwizdał.

— W drogę! — rozległa się komenda. Odezwały się świstawki oficerów; psy, szczekając, porwały się z miejsca i biedni rozbitkowie ruszyli ku dalekiemu lądowi.

Przebywszy obszerne pola lodowe, weszli w pas brył drobniejszych, bardzo ruchliwych i znaleźli się w istnem piekle wiecznego łoskotu i ruchu, gdzie uwaga w ciągłym musiała być natężeniu. W przeciagu dwu dni nikt z nich oka nie zmrużył, nie przysiadł na chwilę, gdyż nie było gdzie usiąść. Drobne, kanciaste bryły, kry przezroczyście zapadały im pod nogami, jak klawisze. Trzeba było biec po nich szybko, by dostać się na większe odłamy, na których także niepodobna było pozostać długo, gdyż fale unosiły je z drogi, kruszy-

ły, topiły, wysuwając inne na ich miejsce. Rzadko trafiały się takie, na których kilku ludzi stać mogło, a jeszcze rzadziej zdolne pomieścić wszystkie oddziały razem.

A tymczasem trzeba było łodzie ciągnąć i rzeczy przenosić. Sanie okazały się niezdatne do takiej podróży. Cenne przedmioty, umieszczone na nich, o mało nie zostały stracone. Trzeba było przenieść je na łodzie, a psy puścić. Biedne, zgłodniałe zwierzęta, wyjąc, szczekając, wlokły się jakiś czas za niemi.

O suchej odzieży i ciepłem jedzeniu marzyć przestali. Marzyli natomiast o większych płaszczach, gdzieby choć na chwilę mogli przysiąść i wyciągnąć zbolałe członki. Na domiar złego, zaczęła ich trapić dysenterja. Woda z wierzchnich warstw śniegu była jeszcze za słońca dla ludzkich żołądków. Wychudli jak widma, wlekli się, ciągnąc liny, przymocowane do ciężko grzęznących i w szczelinach utykających szalup, pełnych ładunku. Słońce paliło. Pot i ostra woda morska wżerały się w okryte strupami rany, przez powrozy zrobione. Nogi wiecznie mokre, przeziębłe, pokaleczone bolały strasznie. Szli machinalnie, zapatrzeni choremi, od blasku załzawionemi oczami w zawsze jednakową blado-siną dal. Zrozpaczeni, w głębi duszy pragnęli nieraz śmierci, spokoju, za jakąbądź cenę, a jednak nikt się nie rzucił w kołyszące pod ich nogami głębiny; wszyscy wlekli się, wyteżając siły, podtrzymywani chyba widokiem wspólnej niedoli...

Przodem szli Tom z Nordwistem, spełniając

trudny obowiązek przewodników. Oni pierwsi wydali okrzyk:

— Ziemia!... ziemia!...

— Gdzie? gdzie?...

— O, tu!... — mówił gorączkowo olbrzym, — zupełnie blisko, o jakie 30 mil angielskich... Mgła zasłaniała dotąd... Widzicie tam, za lodowemi górami te ciemne wzgórza?...

Trzydzieści mil¹⁾ znaczyło jeszcze dwa dni drogi; ale widok lądu dodał im otuchy i siły. Nazajutrz byli już tak blisko, że gołem okiem mogli rozróżnić ciemne, spękane urwiska, wodospady z gór płynące i jasną zieloność murawy. Ostatnie mil dziesięć najbardziej dały im się we znaki. Lód, w kształcie drobnych słupków i brył kanciastych, tworzył coś w rodzaju olbrzymiej szczotki, kołysanej przez wiatry i fale. Gdy przebili się przez te zapory, wydostali się na pola lodowe, szybko z prądem płynące. Prąd uderzał o wyspę i zawracał znowu na pełne morze. Oni wpadli w zagięcie, poniżej zwrotu.

— Jeżeli za godzinę nie będziemy na lądzie, to porwie nas fala na głębie — rzekł kapitan, marszcząc brwi.

Brzeg był tuż, ale między nim a rozbitkami płynął pas wartkiej wody, pełen drobnej kry i odłamków lodowych. Od czasu do czasu od ruchomych lodów przesmyku oddzielały się większe bryły i z szelestem wypływały na środek, zatapiając

¹⁾ Wszędzie jest tu mowa o milach morskich, mających 1,852 metry długości, to jest równających się dwóm wiorstom.

drobniejsze. Zdawało się niepodobieństwem przejść lub przepłynąć przez tę kaszę lodową. Marynarze z rozpaczą spoglądali na ziemię, kwiaty, trawę, strumienie wody słodkiej, które z wolna przesuwały się przed nimi. Mijali już ostatnie urwisko i długą, płaską ławicę, poza którą było znowu morze, pokryte płynąciami lodami.

— My musimy się tam dostać! — krzyknął nagle kapitan. — Hej! chłopcy! związać liny od wszystkich szalup!... Spróbujmy przepawić się na naszej krze, jak na promie!... Aby tylko linę przetrzucić na drugą stronę! Do końca przymocować kłębek szpagatu.

Rozkaz wykonano natychmiast, ale nie było takiego, ktoby ofiarował się przenieść linę na brzeg lądu. Kapitan czekał chwilę.

— Mister Will, obejmujesz pan dowództwo po mnie!... Podajcie szpagat!

Zdjął z piersi woreczek z cennymi papierami, położył lunetę i odczepił pas z rewolwerem.

— Na to nie zgodzimy się, kapitanie!... Ty musisz umrzeć ostatni!...

— Pozwólcie mnie!...

— Kapitanie, mnie pozwól, proszę... — nieśmiało odezwał się Smith.

Kapitan popatrzył nań chwilę i oddał mu koniec szpagatu.

— Dobrze... Ty masz prawo przed innymi...

Smith szpagat przywiązał do długiego bosaka, który wziął w ręce — i poczekawszy chwilę, puścił się, skacząc po krach, wśród wirów. Przejść miał nie więcej jak kroków pięćdziesiąt, ale do-

biegłszy do środka, poślizgnął się i znikł pod wodą. Na lodzie został szpagat, bosak i czapka.

— Utonął!... utonął!... — krzyknęli marynarze.

Ale nie. Po chwili, w bliskości miejsca, gdzie upadł, pojawiła się jego głowa, a następnie część korpusu.

— Chwała Bogu! Stoi na dnie... Ale co on robi?... Na lód się wdziera... Daj pokój!... zgniesz!... wracaj!...

Ale majtek nie słuchał wołania; leżąc na brzuchu, sięgnął po bosak, a dostawszy go, podniósł się. Z okrzykiem radości skoczył na brzeg i zaczął ciągnąć linę, przymocowaną do szpagatu. Majtkowie tymczasem pod kierunkiem kapitana obciosywali węgły kry, na której stali, rozbijali sąsiednie lody, by utorować jej drogę. Wkrótce lina została przymocowana do brzegu; majtkowie zaczęli ją ciągnąć, odpychając jednocześnie wiosłami i bosakami swoją improwizowaną tratwę. Z początku szło im trudno, ale potem prąd porwał ich i zaczął nieść prędeż, niż trzeba. Lina wyprężyła się strasznie i o mało nie zrzuciła do wody trzymających ją ludzi.

— Puszczajcie potrochu!... — wołał kapitan.

Robili, co kazał; aż w ręku został im sam kołnierz, a do brzegu było jeszcze drugie tyle. Płynęli przeciw prądowi, który niósł lody, z łoskotem walące w ich krę, wskakujące na brzeg i grożące im zatopieniem... Nagle lina pękła i ze świstem wyleciała w powietrze! Kra oswobodzona zakołysała się i wartko pomknęła z wodą. Nie było już nadziei ratunku! Wyspa uciekała przed nimi, niby

senne widziadło. Przymknęli oczy, by tego nie widzieć!

Tymczasem nie było tak źle. Choć sznur pękł, tratwa zataczała półkole i zbliżała się ku ziemi. Smith pędził brzegiem, jak szalony, wymachując rękami; za nim, szczerkając, biegły psy okrętowe, które, nie wiedząc skąd, znalazły się na wyspie.

Rzucili mu sznur. Kra stuknęła o dno tak silnie, że o mało nie powpadali do wody.

— Hurra!... Ziemia!... Zwycięstwo!...

Majtkowie powskakiwali do wody. Łodzie w jednej chwili spuszczone, zniesiono z kry prawie na rękach.

Porwana prądem, pomknęła tratwa dalej, a rozbitkowie szczęśliwi, weseli brnęli przez wodę pełną lodowych okrucichów.

Jakże im było przyjemnie czuć pod nogami ił grząski i czarny!

VII.

Wysepka, na którą się dostali, była bardzo mała, jałowa i prawie pusta. Zaludniały ją wyłącznie stada morskich nurków, trochę rybitw, mnóstwo myszy podbiegunowych i nieliczne foki — goście czasowi. Marynarze prędko załatwili się z ptactwem i fokami, a wśród myszy psy porobiły ogromne spustoszenia i tak wypasły się na tem dobrem pożywieniu, że kapitan kazał je wystrzelać, aby powiększyć szczupłe już zapasy żywności.

Marynarzy czekała jeszcze długa droga, ale wypoczęli, rany swoje wygoili i patrzyli w przy-

szłość z większą otuchą. Woda słodka, wyśmienita i zupa ze świeżego mięsa, zaprawna kwasowatemi trawami, które doktor odnalazł w górach, wróciły szybko zdrowie nawet tym, co byli chorzy na skorbut.

— Niema co mówić, przyjemnie czuć grunt pod sobą!... Nie mniej są przyjemne dym i ciepło, idące od stosu palącego się drzewa... I gdzie znajduje się osieł, który temu zaprzeczy?... — pytał Dick, leżąc nawznak przed ogniem. — Przysięgam, nie będę już taki głupi! Przekłęte morze pożegnam na wieki... Kupię sobie fermę w okolicach Frisko; będę spokojnie orał ziemię i chyba tylko w niedzielę popłynę na morze łowić ryby... Bo muszę przecie nauczyć syna stawiać żagle... Mieszczuchy o wietrze dowiadują się, tylko susząc bieliznę; a ja nie mogę pozwolić, żeby mój syn był do niczego... Sam nie pojedę już więcej na żadne wyprawy... Żegnaj, kochane morze!...

— Głupi będzie, kto ci uwierzy! — rzekł Tom. — To samo mówiłeś po pożarze „Florydy“ wśród Atlantyku, gdy nam przyszło ratować się na łodziach.

Tom tylko co wrócił z polowania i zamiast wicherzy, na którą się spóźnił, gotował sobie herbatę w małym, miedzianym imbryku.

— Co ty wiesz!... Tam cierpieliśmy tylko głód i pragnienie, ale nie potrzebowaliśmy skakać jak wrony po lodach... Ładna rzecz zamiast wiosła nogami przebierać!... Od czasu, jakieś fajkę stracił, rozum cię opuścił, drogi przyjacielu... Patrz lepiej, co ci pokażę.

Dick złożył pięść, duży palec odstawił i w usta wetknął, udając, że pali i dym puszcza. Tom z dąsem odwrócił głowę.

— Dajże mu się zaciągnąć choć trochę... — zartowali obecni.

— Czyż nie widzicie, że on pije, nie pali...

— Pije bardzo dużo i pewnie z rozpaczy... Niedługo potem zniknie, jak znikły kaczki i rybitwy!...

— Przekłęty grubas!... Gołąbko, „onusiu“ moja, nie gniewaj się!... Jak tylko przyjedziemy do Frisko, zaraz kupimy fajkę, a dopiero za resztę pieniędzy kolonję... Widzisz, jaki jestem dobry, bo przecież bez kolonji nie będę miał syna... Frisko! ty... Frisko!... cudowne miasto!...

— O, tak!... Tam wiele chleba... wiele dolar... — marzył głośno Li.

Majtkowie z innych miast poczęli bronić każdy swojego gniazda. Ale Dick wszystkich przegadał i dowiódł, że cuda dzieją się tylko we Frisko. Słuchali go, od czasu do czasu wybuchając śmiechem, który wiatr niósł daleko i mieszał z szumem fal i lodów, bijących o brzegi. Na te lody kapitan z trwożą codziennie spoglądał ze wzgórzka, panującego nad wyspą. W dali niebo jak chmura ciemne kazało się domyślać otwartego morza; ale by dostać się tam, trzeba było przebyć znowu szeroki pas ruchomych lodów. Kapitan wciąż odkładał dzień wyprawy, nie mając odwagi wystawić na nowe katusze powierzonych sobie ludzi. Wyczekiwał, czy nie otworzy się gdzie przejście dla łodzi.

Ale długo czekać nie było można, zapasów żywności mieli mało, zwierzyny na wyspie coraz mniej było. Ruszyli więc przez pola lodowe z uczuciem ludzi, wstępujących w ognisko gorejące. Ale tym razem męczarnie ich złagodzone były widokiem czystej, a coraz bliższej, wodnej, otwartej przestrzeni. Za tą wodą czekał ich ląd i zbawienie! Tu jednak spotkała ich przykra niespodzianka. Drobne bryły i odłamki lodowe tworzyły tak gęstą kaszę, że niepodobna było spuścić łodzi. Wiosła ślizgały się po lodach, a szalupy pochylały się i chygotały na wysokich kilach, nie ruszając się z miejsca. Długo błądzili po krach, nim wydostali się na ocean.

Dzień był jasny, błyszczący. W powietrzu unosiły się słoneczne odbicia wody i lodów. Morze podnosiło się i upadało w długich, potoczystych falach. Na niebie w kierunku południowym płynęły lekkie, srebrzyste obłoczki; a oni, pełni radości, rozpiąwszy żagle, mknęli za nimi po sinem morzu. Łodzie, pochyliwszy się lekko, pędziły jak rybitwy; końcami wydętych płócien zdawały się muskać wodę. Marynarze czuli się w swoim żywiole, a choć ziemia była jeszcze daleko, nucili wesołe piosenki.

Kapitan kazał szalupom trzymać się razem, a ponieważ mniejsza, na której dowodził Nordwist, nie mogła podążyć za drugimi, więc dwie większe często zwalniały biegu. W nocy płynęły dziwnie prędko, choć wiatr zmienił nieco kierunek. Nad ranem niebo pokryło się chmurami. Wiatr zerwał się po krótkiej ciszy i dął z wzra-

stającą siłą. Morze zapieniło się i fosforycznie zabłysło. Trzeba było żagle zwinąć i płynąć na wiosłach.

Dzień podniósł się szary, ołowiany. Chmury opuszczały się coraz niżej, aż zlały się z mgłą, stojącą nad oceanem, z pod której czarne, nastroszone wytryskiwały pieniające się bałwany i biegly ku łodziom. Mimo to posuwali się naprzód. Rozpuścili znów żagle, które mokre i ciężkie, nieprzyjemnie klaskały w podmuchach wiatru, wyjącego dziko przy wtórze morza. Deszcz drobny i przejmujący siał wodną kurzawą, przenikając odzież, ale nie mroząc dobrego usposobienia ludzi. Wszystko to, w porównaniu z tem, co już przeszli, wydawało im się drobnostką.

— On nie pali, a pije — cieniutkim głosikiem szeptał Dick, wycierając twarz mokrą i zsiniałą.

Kapitan, nie rozumiejąc żartu, chmurzył się, a Tom obojętnie patrzył w dal.

Aby nie zgubić się we mgle, na szalupach gwizdano często i ostro; lecz wkrótce głos oficerskich syren okazał się za słaby w walce z wiatrem i rykiem wód. Widzieli się raz tylko jeszcze; skrzydlate sylwetki ich żagli migały wśród tumanu, który wiatr unosił, aż znikły bez śladu w gęstniejącym mroku zapadającej nocy.

Była to noc okropna. Łodziami rzucało, jak łupiną orzecha. Musiano znowu żagle zwinąć, nawet maszty złożyć. Fale uciekały z pod wiosel, a szalupy nieposłuszne i drżące biegly na oślep, gdzie je niosły bałwany. To spadały w odmęty,

które zdawało się, gotowe były zamknąć się nad niemi; to wylatywały w górę, z warem piany, chlującacej przez burty i grożącej zalaniem łodzi lub wywróceniem jej dnem do góry. Połowa majtków zajęta była wylewaniem wody, a rady jej dać nie mogli; reszta pracowała wiosłami, aby utrzymać równowagę i łódź przeciw falom kierować.

— Mój Boże, co się też dzieje z łodzią mister Nordwist'a? — szeptali z trwogą marynarze.

Żeby osłabić uderzenia bałwanów i zapobiec przewróceniu łodzi, kapitan kazał naprędce zrobić z desek ciężki trójkąt, obciągnąć go kawałkiem płótna i rzucić na długim sznurze za łodzią. Trójkąt płynął, stojąc wierzchołkiem do góry, i działał, jak ruchoma kotwica. Może to ich uratowało; a może — determinacja, z jaką wyrzucili do wody, gdy łódź zalana miała już pójść na dno, część rzeczy i zapasów żywności; dość, że nad rankiem, kiedy wiatr złagodniał, a morze uciszać się zaczęło, znowu rozpięli żagle i polecili wesoło w dal, nasiąkającą z wolna błękitną jasnością. Około południa, na widnokręgu zarysowała się ciemna, długa linja.

— Łąd!

Wieczorem gołem okiem już było widać wzgórze i wąską zatokę, głęboko wrzynającą się w płaskie wybrzeże.

Stado czajek z krzykiem przeleciało nad łodziami; para młodych fok wynurzyła się tak blisko, że jedną zabito uderzeniem wiosła. Do brzegu było jeszcze wszystkiego parę mil angielskich; więc z obawy, aby nie utknąć na mieliźnie, zwinęli ża-

gle i wolno popłynęli na wiosłach. Ale daremna była ich ostrożność!... O pół mili od brzegu ugrzęźli na ławicy i po wielu bezskutecznych próbach postanowili czekać świtu.

VIII.

Cztery miesiące upływało od rozbicia okrętu. Miało się pod koniec września. Nocami bywały już silne przymrozki. Marynarze na łodzi, bez ognia i ciepłego pokarmu, cierpieli bardzo od zimna, gdyż odzież ich mokra była i znoszona. Cisnęli się do siebie i próbowali zasnąć, ale sen nie przynosił im spoczynku. Chmurni podnosili się z postania i z nienawiścią spoglądali na szarzejącą w oddali, a tak upragnioną ziemię. Drobną falą, napływająca od morza, pluskała dokoła łodzi i coraz drobniejsza, cichsza, biegła dalej na mielizny i ławice. Rudy, niski brzeg kończył się u limanu niewysokiem, gliniastem urwiskiem. Próbowali dostać się do tego limanu, ale nie mogli wydobyć łodzi z łu. Wszędzie dokoła widać było takie mnóstwo ławic, mielizn, kamieni obnażonych lub pokrytych bardzo płytką wodą, że niemożna było marzyć nawet o wydobyciu się z tej pułapki. Pędzeni wiatrem, wpadli tu dnia poprzedniego; teraz nie pozostawało im nic innego, jak przebrnąć przez wodę, rzeczy przenieść w rękach, a łódź porzucić. Z rzeczy ocalały tylko książki okrętowe, narzędzia i pościel; żywności pozostało im już bardzo niewiele. Łódź, nawet zupełnie opróżnio-

na, nie dała się poruszyć. Porzucono ją bez wielkiego żalu, gdyż kapitan odkrył, że zatoka jest właściwie ujściem jednej z wielkich rzek syberyjskich. Przypuszczał, iż osady rybackie mogą być niedaleko, lecz jednocześnie wiedział, że znajdują się one zazwyczaj na lewym brzegu rzeki, tymczasem los ich wyrzucił na prawy. Niepodobiestwem było przepłynąć rzekę na tratwie, z powodu jej szerokości i kry, która iść zaczynała.

Marynarze założyli obozowisko na brzegu zatoki, w miejscu, gdzie było suszej i gdzie leżały pnie przyniesionego przez wodę drzewa. Majtkowie rozpalili ogień, a kapitan, korzystając z resztek dziennego światła, wszedł na wzgórze, by obejrzeć okolicę. Tak dawno pożądane ciepło płonącego ogniska dodało rozbitkom otuchy; byłoby nawet może rozbudziło wesołość, gdyby nie maleńkie porcje wydzielanego pożywienia.

— Ona już nie pali i nie je!... — smutno skarżył się Dick.

Polowanie niewiele obiecywało. Zbliżająca się zima opustoszyła tundrę. Jurek, najlepszy myśliwy, po dwugodzinnej włóczędze przyniósł tylko jedną białą kuropatwę. Okazało się, iż popełniono błąd gruby, zabierając tylko karabiny z okrętu. Już na wyspie napsuli dużo prochu, choć tam zwierzyna była mało łękliwa i dopuszczała blisko do siebie; ostrożniejsze ptactwo lądowe trudno było zabijać kulami. Nazajutrz, gdy ruszyli w górę rzeki, doktor napróżno szukał wśród zwiędłej, ubogiej roślinności jakich jadalnych traw lub ko-

rzni; znalazł tylko krzaczkę dzikiej herbaty, której liście dawały dość przyjemny i pokrzepiający napój. Liści tych zresztą było bardzo mało, a napój z nich gorzko-trawiący jeszcze zwiększał apetyt.

Zimno podniecało także chęć do jedzenia.

O południu oddział zatrzymał się u stosu drzewa, by ogrzać się, ugotować „nieszczęsnej herbaty“, a kapitan kazał rozdać po kawałku suchara, oznajmiając, że więcej nad jedną porcję nie pozostało w zapasie. Wiadomość ta przygnębiła ostatecznie i tak już bardzo na duchu upadłych rozbitków. Wielu położyło się natychmiast, by leżąc mniej cierpieć, a drzemiąc mniej myśleć; inni obsiedli ognisko i w milczeniu łatali podartą odzież, z łachmanów przyrządzali sobie obuwie. Większość była boso, cierpiąc dotkliwie od zimna i ostrych kamieni. Kapitan stał nad wodą i wpa-trywał się w brzeg przeciwny.

Szerokim pasem zatoki leniwo płynęły kry; setki płaskich wysepek zalegały ujście rzeki, a poza niemi, jak mglista smuga, wznosił się brzeg przeciwny, wysoki i bardzo odległy. — Tam musieli być ludzie! Kapitanowi wydawało się, że widzi przez lunetę dymek, unoszący się przed jednym z wąwozów. Ten dymek siwy był bardzo wyraźny na chłodnym tle nieba, ale dla nich nie miał żadnego znaczenia. Nie mogli marzyć o przedostaniu się na drugą stronę, nawet w łodzi. Twardy lód rzeczny nie żartował; nie dawał się kruszyć tak łatwo, jak morski, a był jeszcze zadrobny i za cienki, by na powierzchni swojej utrzymać ludzi.

Mieli zresztą nadzieję i na tej stronie odszukać jaką sadybę.

W nocy śnieg prószył. Ruda tundra pokrywała się białymi plamami. Rozbitki wlekli się bardzo powoli, z trudnością stąpając źle obutymi nogami, na których pootwierały się znowu zagojone rany. Nadchodził wieczór, a oni uszli tak mało, że widzieli dym ogniska, porzuconego przez nich rano.

Nazajutrz, przed udaniem się w dalszą drogę, dostali zamiast jedzenia po maleńkim łyku spirytusu. Głodni, przeziębieni, zacisnęli pasy i ruszyli mężnie za kapitanem, który przeglądał okolicę, nie odejmując lunety od oczu. A tymczasem, jak okiem sięgnąć wokoło, wszystko było to samo: niebo ołowiane i pstra, śniegiem ubielona tundra.

Pod wieczór Jurek, który chodził najwięcej, gdyż szukał zwierzyny, tak osłabł, że dalej iść nie mógł. Musiano go podtrzymywać i prowadzić. Nazajutrz kapitan długo nie dawał hasła do drogi. Wdrapał się na wzgórze i uważnie badał okolicę. Nakoniec zawołał Toma.

— Tomie, tyś silniejszy od innych... Chcę wysłać cię naprzód. O dwadzieścia mil stąd powinna być rybacka osada na tym brzegu. Śpiesz się, być może, ludzi tam jeszcze znajdziesz... ale śpiesz się, rozumiesz?...

— Dobrze, kapitanie!

— Możesz wziąć z sobą kogo chcesz z towarzyszy... We dwóch będzie wam różniej... Kogo wybierasz?

— Dicka, kapitanie!

— A więc chodźmy, trzeba im to powiedzieć.

Przedstawił gromadce swój plan i dodał w końcu:

— Musimy dać im połowę naszego spirytusu!...

Ci, co leżeli, podnieśli głowy i wlepili w naczelnika gorejące oczy.

— Mamy go tak mało — bąknął któryś.

— Będą potrzebowali pokrzepienia... Im szybciej przebędą tę odległość, tem prędzej przyjdzie pomoc... My będziemy szli, oszczędzając sił.

Nikt nie zaprzeczył, lecz i nie potwierdził. Kapitan drżącą ręką odlał do małej buteleczki z pół uncji cennego płynu, który łagodził choć na krótko nieznośne ich cierpienia i wracał im siły.

— Ufam ci, Tomie!... Widzisz, to życie nasze!...

— Miej nadzieję, kapitanie!... Bóg dopomocze!... O was tylko będę pamiętał, siebie nie szczeni!

Podali sobie ręce i serdecznie spojrzeli w oczy. Łzy błyszczały w ich źrenicach.

— Na kolanach wlec się będziemy, jeśli nam sił zabraknie — gorąco zapewniał Dick.

— Z Bogiem więc... w drogę!

Obaj zrzucili z siebie wszystko, co ich obciążać mogło; zabrali tylko jeden karabin. Mieli go nieść po kolei. Drogocenną buteleczkę Tom schował na piersiach. Towarzysze długo stali, odprowadzając ich wzrokiem, dopóki nie znikli im z oczu za łagodną krzywizną tundry.

Wieczorem Tom i Dick widzieli jeszcze ogień obozowiska, jak maleńką czerwoną gwiazdkę migającą na widnokręgu. Za miejsce noclegu wy-

brali sobie małe zaklętnięcie w urwistym brzegu rzeki, gdzie wiatr mniej dokuczał. Źle spali na ziemi zamarzłej i twardej, pomimo, że kładąc się do snu, wypili po jednym łyku spirytusu i przytulili się do siebie. Tom nad ranem dopiero zapadł w sen głęboki i letargiczny. Zbudziło go przejmujące zimno. Dicka nie znalazł przy sobie, więc wyszedł natychmiast, by się dowiedzieć, co się stało. Został go rozpalającego ognisko: w purpurowym blasku płomienia wydał mu się bladym i wychudłym, jak sama śmierć. Dolna szczęka obwisła, trzęsła się okropnie.

— Zimno mi, Tomie!... zimno!... strasznie zimno!... Pewnie umrę!...

Tom nic nie odrzekł. I on cierpiał; wstrząsały nim konwulsyjne dreszcze. Spojrzał w tę stronę, gdzie poprzedniego wieczoru błyszczał ogień obozowiska, a gdzie obecnie nic już widać nie było.

— Wiesz co, Dick? idźmy w drogę; będzie nam lżej!...

— Jeszcze ciemno... Jeść mi się chce!

-- A więc ściągnij się pasem. Doktor mówi, że to pomaga...

— Mój pas niema co ściągać — same już ze mnie kości. Lepiej spirytusu kropelkę!...

Tom w milczeniu odwrócił głowę; zły był na Dicka.

— Przecież dopiero dzień jeden jesteśmy w drodze!... Dwa razy na dzień nie można!... Połóż się przed ogniem i bądź cierpliwy.

Położyli się obaj, przytulając do siebie, ale Tom

przed zaśnięciem schował buteleczkę pod mech, na którym leżał.

Nazajutrz wlekli się znowu dzień cały, wyczuwając co kilkaset kroków. Przed sobą widzieli zawsze tę samą białawą pustynię i rzekę, coraz bardziej stygnącą. O zachodzie słońca spostrzegli łódź, porzuconą na brzegu. Podeszli pełni otuchy: w łodzi siedziała biała kuropatwa. Tom przykląkł i długo celował; Dick, nachylony za nim, pożerał ptaka oczami.

— Strzelaj!... strzelaj!... Zobaczyła nas... widzisz, jak łebek wyciąga!...

— Nie mogę, broń chwieje się; nie mogę wziąć na cel!... Jaka mała ta kuropatwa!...

— Strzelaj!...

Huknął strzał; ptak wzleciał, szeroko rozpostarłszy skrzydła. Dick wybuchnął przekleństwem.

— Jak mogłeś?... jak mogłeś?... To zbrodnia!...

Tom, zmieszany, spojrzał z wyrzutem na towarzysza.

— Nie trafiłem, bo ręce mi drżały!

Noc spędzili w łodzi. I znowu Dick obudził Toma.

— Wstawaj!... wstawaj!... — wołał prawie nieprzytomny — renifery!... Zabij choć jednego!... Słuchaj, zabij!... a będziemy uratowani, my i towarzysze nasi!...

Istotnie, o jakie pięćset kroków w szarym świetle poczynającego się dnia poruszały się cienie zwierząt. Tom wahał się.

— Idź ty, Dick... Ja nie ufam sobie!...

Dick wziął broń i poszedł, ale zaraz wrócił.

— Nie mogę!... Tyś pewnie mocniejszy... Nie dojdę... Tylko zabij!... zabij, mój drogi!... Zostaw ładownicę i buteleczkę; jeszcze ją wylejesz lub rozbijesz... Idź!... idź!... czołgaj się, jak wąż!

Tom spojrział w podejrziwe, biegające oczy przyjaciela, pomyślał i... oddał mu buteleczkę. Następnie położył się i zaczął posuwać się ostrożnie, czołgając się na łokciach i kolanach. Ale miejscowość była zanadto otwarta i nadmiar złego szedł z wiatrem, więc nim zdołał ująć sto kroków, już rogacz, stojący na straży, zauważył go i zaczął trwożnie uderzać kopytem w ziemię. Natychmiast całe stado przestało jeść i zwróciło się łbami ku niemu. Tom ostrożnie broń podniósł, lecz zanim odwiódł kurek, zwierzęta pierzchnęły. — Dick tak był zrozpaczony, że już nic nie mówił; buteleczkę oddał natychmiast i odwrócił się, by nie patrzeć na Toma.

— Dicku, bracie, — próbował tłumaczyć się pocziwiec, — czyż myślisz, że jeść mi się nie chce?

Dick nic nie odrzekł, gdyż czuł, że rozplacze się jak dziecko. Poszli dalej, wytrwale brnąc przez śniegi, ale sił i nadziei coraz mniej mieli. Byli pewni, że dziesięć mil przeszli, a pomimo to nic jeszcze nie znaleźli. Wciąż mieli przed sobą pustynię równą i białą, jak obrus. W południe Tom zauważył w dali jakiś ciemny czworobok, który wydał mu się budynkiem. Istotnie, była to chata, ale dawno widocznie przez ludzi opuszczona. Zawsze jednak jej widok dodał im otuchy. Weszli

do izby. Tom zabrał się zaraz do rozniecienia ognia na kominie, a Dick jął szukać pożywienia po kątach. Znalazł tylko kość w śmieciach, którą rozbił i połowę oddał Tomowi. Wysysanie i obgryzanie tej kości nie przyniosło im żadnej ulgi.

— Trzeba nam, Tomie, widzę, umierać!... Nikogo nie uratujemy!... Nie pójdę już dalej ani kroku, to darmo!... Wiesz co? lepiej wypijmy spirytus i strzelmy sobie w łeb!...

— Gadasz niestworzone rzeczy!... Jeszcze możemy wlec się!...

— Ty możesz, ale nie ja... więc oddaj mi moją połowę i zostaw mnie tu... albo lepiej... zastrzel!

— Nie, ja tego nie zrobię! Dicku! Dicku! Ty taki mężny, dlaczego odbierasz mi odwagę?... Co się z tobą stało? Wszak jutro możemy znaleźć ludzi!... Ten dom to może pierwsza chałupa osady!...

— Hm!... Cała noc... To bardzo długo!...

Zabrał się znowu do grzebania w śmieciach, mrużąc coś pod nosem. Tom wyciągnął się na niskim łożu, zasłanem garścią zleżałego siana. Był strasznie znużony i chciał zasnąć. Ale sen miał niespokojny, pełen mar i widziadeł — szkieletów, w których poznawał towarzyszy. Wyciągali do niego ręce, z krzykiem i przekleństwami usiłowali wydrzeć mu buteleczkę. On jej bronił, do piersi przyciskał... W chwilę potem był na wspaniałej uczcie... Zapach potraw... ciepło, jasno... Frisco!... mieli fermę — wszystko mieli!... — Otworzył oczy. Naprawdę, ktoś mówił o Frisko... Ach, to Dick!... — Siedział przed ogniem i coś

mamrotał... Pewnie nie spał. Bieda! trzeba go będzie zostawić w tej izbie i oddać mu część spirytusu... Dalej nie pójdzie... Jaki ożywiony!... Czyżby zwarzował?... a może?...

Tom sięgnął na piersi i buteleczki nie znalazł... Nie wierzył sobie, więc zaczął szukać na posłaniu.

— Dick, — rzekł wreszcie ochryplym głosem — gdzie butelka? Wzięłaś ją?...

Dick nie ruszył się z miejsca.

— Wszyscy pomrzemy — mrucał niewyraźnie.

— Wzięłaś więc!... Zginęliśmy!... Boże mój, co za podłość!...

— Masz słuszność, Tomie, podły jestem!... Wypiłem wszystko co do kropli... gotów byłem wylizać! Zabij mnie... nic ci więcej nie pozostało... mnie wszystko jedno!...

— Towarzysze!... nasi towarzysze!... Tyś krew ich wypił! — krzyczał Tom.

— Zabij mnie!... oto broń!... — powtarzał Dick. — Nie mam sił zabić, ale... wszystko mi jedno!... I ty umrzesz, ja, i oni... wszyscy zostaną na wieki wśród lodów jak... Jack. — Mówiąc to, podawał Tomowi broń i pokornie patrzył mu w oczy. Tom stał pośpny i słuchał. Nagle Dick drgnął; przerażenie odmalowało się w jego oczach. Tom schwycił za broń i wyprostował się.

— Nadszedł czas... nadszedł czas... Żegnaj Frisko!...

— Cicho! — ryknął kolos, ruchem głowy wskazując drzwi.

Ze dworu dolatywało jakieś chrobotanie. Teraz

i Dick je usłyszał i także zerwał się na równe nogi. Chrobotanie nie ustawało. Tom podszedł do drzwi i otworzył je nagle. Przed chatą, u słupa stały sanki, zaprzężone we dwa renifery, i Tunguz z długim prętem. Ujrzawszy ich, zbladł i cofnął się, ruchem bezwiednym chwytając za pas, gdzie nosił nóż. Tom dostrzegł ten ruch i podniósł broń.

— Stój!... Ani kroku!...

Dziki zrozumiał i padł na kolana, składając błagalnie ręce. Wówczas Dick podszedł do niego i zaczął gładzić go po twarzy i głowie, za ręce ścisnąć. Zbliżył się i Tom. Obaj zaczęli tłumaczyć mu na migi, że są głodni, chwytając się za usta, za żołądek, udawać, że jedzą i kiwać rozpaczliwie głowami, ukazując na północ. Tunguz ich rozumiał; szybko podniósł się z ziemi, wziął z sani nieduży woreczek i zaniósł do chaty. W woreczku znalazł się krążek jakuckiego masła i kilka suszonych ryb. Tunguz łupał masło po kawałeczku i podawał je zgłodniałym. Obaj jedli chciwie, pomimo, że czuli, iż lekki obłąd opanowuje ich zwołna. Tunguz widocznie także nie pochwałał ich łakomstwa; na migi radził im przerwać i pójść na spoczynek: oczy przymykał i głowę kładł na dłoni. Oni mieli ochotę usłuchać jego rady, ale bali się, że Tunguz im umknie podczas snu. Przytem sprawa umierających towarzyszy musiała być załatwioną. Tom zaczął na migi wyłuszczać rzecz całą Tunguzowi, prosić, by jechał ich ratować. Tunguz słuchał cierpliwie i przytakiwał; parę razy nawet od siebie coś dodał, z czego się pokazało,

że doskonale o wszystkim wiedział: o ich podróży wśród lodów, rozbiciu i wylądowaniu. Tom niesłychanie zdziwiony, nie wiedział, jak to rozumieć. Czyżby krajowcy odnaleźli już kapitana z resztą towarzyszy?... Nie mógł się z dzikim dogadać. Tunguz niecierpliwił się i nie chciał jechać w kierunku wskazanym przez Toma, a uparcie zawracał na przeciwny brzeg rzeki... Czyżby tam byli?... Marynarz czuł, że mu się w głowie kręci, że nic nie rozumie... Dał się posadzić na saniach, obok nieprzytomnie mającego Dicka, i uwięzić Tunguzowi; ale walczył z ogarniającą go niemocą i całą siłą woli starał się skupić rozproszone, pobladłe myśli. Nakoniec wydało mu się, że odgadł... To musiał być mister Will, a nie tamci. Porwał się z krzykiem i Tunguza za ramię uchwycił; zawracać kazał. Przerażony dziki jeszcze prędzej zaczął poganiać renifery i prętem ukazywał w dal. Tam wśród tundry czerniał szereg poruszających się kropek. Tom ujrzał wkrótce liczny orszak krajowców, jadących wierzchem i na saniach. Zrównawszy się z nimi, orszak zatrzymał się, a jeźdźcy pozeskakiwali na ziemię. Jego woźnica coś im długo i krzykliwie opowiadał. Wreszcie bogaciej od innych odziany krajowiec podszedł do Toma i po rosyjsku rzekł:

— Zdorowol

Tom poznał słowo tyle razy słyszane od Jurka; zerwał się i zaczął opowiadać po angielsku, co myślał. Dziki słuchał, kiwał głową i uśmiechał się dobrotliwie, ale ruchem stanowczym wskazał przeciwny brzeg rzeki. Tom z rozpaczy chwycił

go za rękaw i ciągnął za sobą. Łzy jak grad płynęły mu z oczu... Dziki, trochę wylekły, cofnął się; palcem ukazał na czoło i mówił coś do swoich. Ci otoczyli go ciasnym kołem. Biedny Tom zrozumiał, że wszystko przegrane... że się go boją... że mają za warjata!... Ostatnim wysiłkiem woli pohamował się; ukląkł i spokojnie zaczął rysować na śniegu łodzie i małe figurki, które miały wyobrazać ludzi, podzielonych na oddziały. Narysował też rzekę i jeden z oddziałów umieścił na prawym brzegu, a inne na lewym. Tunguzi, oparci na prętach, uważnie śledzili najmniejszy jego ruch i okrzykami dawali znać, że rozumieją. Od jednego z oddziałów Tom oddzielił dwie figurki... pokazał palcem na siebie i Dicka i spojrzął wymownie. Zdawało się, że go rozumieli, ale pomimo to nie ruszali się z miejsca. Tymczasem on czuł, że już wyczerpał resztki sił... Oczy zachodziły mu mgłą... Co teraz będzie? co będzie?! Czy rozumieją?... — rozpaczwał w ostatnim wysiłku zamraczającej się myśli... Ręce wyciągał, bliżej stojących za odzież chwytał... aż zachwiał się i upadł bezwładnie na śnieg...

IX.

Gdy znowu oczy otworzył i spojrzął przytomnie, ujrzał przedewszystkiem okopcone wnętrze chaty sybirskiej. Ktoś znajomy siedział na jego łóżku, a ktoś drugi stał pochylony nad nim.

Poznał kapitana i doktora.

— Życ będzie!... Otworzył oczy!... poznał nas!... Cicho!... cicho!...

Obecni podeszli tłumnie do łoża.

Wszyscy tu byli: mister Will, Jurek i Smith, nawet Li kiwał przyjaźnie swą żółtą, kwadratową głową. Nie było tylko Nordwista i ludzi, co z nim płynęli. Ale Tom tego nie zauważył zrazu.

— A Dick? — spytał nieśmiało.

— Żyje! — odpowiedział kapitan. — Nie ruszaj się i nie gadaj — niewolno ci mówić!

Tom usłuchał; w milczeniu powiódł spojrzeniem po wszystkich i oczy utkwiał w kapitana. Chudemi, przezroczystymi palcami zaczął skubać kaftan oficera i szepnął, nie mogąc powstrzymać się dłużej:

— Kapitanie... a pamiętasz... fajeczkę?...

Kapitan zakłopotany gładził wąsy. Tom tymczasem, uśmiechając się, przymknął oczy i znowu zapadł w nieświadomość.

Ale to nie była śmierć, ani też walka z nią, lecz głęboki pokrzepiający sen.



260009

JULIUSZ DĄBROWSKI
i TADEUSZ KWIATKOWSKI

JEDEN TRUDNY ROK

cena zł. 3.—

Ciekawa książka o życiu dwóch drużyn harcerskich. Rzadko spotyka się w ostatnich czasach taką nawałnicę ideową, która przewalaby się w podobny sposób, jak na kartach „Jednego trudnego roku“. Książka jest przykładem tego, co się w harcerstwie nazywa „duchem harcerskim“. Obok opisów porwijających przeżyć, znajdzie czytelnik i zagadnienia ideowe, obok projektów, programów, nowe ścieżki właśnie wykonywania tychże programów. Sercem i często jak się mówi, krwią serdeczną opisali autorzy strony tego przedziwnego przeżycia jednonocnego. Są tu historie nieprawdopodobne, a tak bliskie rzeczywistości, że nie wiadomo, gdzie w tym wszystkim szukać granicy fantazji i rzeczywistości. Podobno wiele z opisanych tu scen działo się kiedyś, gdzieś. Autorzy tej książki nie są starzy — dlatego też trudno nie czuć, że przeżycia starali się oddać mocno żywo — tak, jak niedawne przeżycia były same — mocne i żywe.

Książkę warto przeczytać. I to nie tylko brać harcerska, czy instruktorzy, ale „zwykły czytelnik“ znajdzie przyjemność w przeczytaniu tej książki i w odgrzebananiu własnych, często zamarłych ideałów.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R Ó J“

KSIĄŻKI POLECONE dla MŁODZIEŻY

przez Min. W. R. i O. P.

JAKO LEKTURA UZUPEŁNIAJĄCA:

<i>A. Bohomolec</i> — Wyprawa jachtu „Dal“	zł. 4.—
<i>J. Centkiewicz</i> — Wyspa mgieł i wichrów	„ 4.—
<i>A. Fiedler</i> — Zwierzęta z lasu dziewiczego	„ 3.50
„ „ — Zdobywamy Amazonkę	„ 5.—
<i>P. Gojawiczyńska</i> — Górnolazaczka	„ 1.—
<i>H. Górską</i> — Druga brama	„ 4.—
„ „ — Nad czarną wodą	„ 3.—
<i>Z. Kossak</i> — Szukajcie przyjaciół	„ 2.50
<i>M. B. Lepecki</i> — Sybir bez przekleństw	„ 3.—
<i>E. Libański</i> — Na szczyt świata	„ 1.—
<i>J. London</i> — Przygoda	„ 2.50
<i>J. Meissner</i> — Szkoła Orląt	„ 4.—
<i>W. Sieroszewski</i> — Ze świata	„ 3.—
„ „ — Dary wiatru północnego	„ 3.—
„ „ — Wśród kosmatych ludzi	„ 1.20
„ „ — Wśród lodów	„ 1.20
„ „ — Przelotne ptaki	„ 1.20

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R Ó J“

KSIĄŻKI POLECONE

przez Min. W. R. i O. P.

do BIBLIOTEK SZKOLNYCH

<i>W. Borowy</i> — Wczoraj i dziś	zł. 5.—
<i>J. S. Bystron</i> — Człowiek i książka	„ 5.—
<i>Cz. J. Centkiewicz</i> — Czeluskin	„ 1.—
„ „ — Znowu na Północy	„ 5.—
<i>Z. Kossak</i> — Nieznany kraj	„ 7.—
„ „ — Wielcy i mali	„ 5.—
<i>Krechowicz</i> — Amundsen	„ 1.—
<i>London</i> — Dolina księżycy I/II	„ 3.—
„ — Biały kiel	„ 2.—
<i>Majewski</i> — Wyprawa Liwingstona	„ 1.—
<i>G. Morcinek</i> — Gołębie na dachu	„ 5.—
<i>Sempołowska</i> — Na ratunek	„ 8.—
<i>Wańkiewicz</i> — Szpital w Cichiniczach	„ 2.—

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R Ó J“

HALINA GÓRSKA

NAD CZARNĄ WODĄ

Powieść ta opisuje powstanie i dzieje pewnego bardzo dziwnego „klubu” — klubu dzieci z warszawskiego Powiśla. Jakkolwiek pisana przez osobę dorosłą i w innych kształconą warunkach, — uderza ona przede wszystkim szczerym i prostym stosunkiem do swych dzieci i zupełnem zespoleniem się z niemi. Niema w niej nic ani z fałszywego sentymentu do dzieci, ani z zakłamanego protekcjonizmu wobec proletariatu; wydaje się, że kronikę tego klubu tworzyli i pisali wszyscy jego członkowie. A kronika to bogata i szczególnie interesująca; dla młodego czytelnika znajdzie się w niej wiele zabawnych lub pełnych emocji perypetyj, — dla dojrzałego zaś wychowawcy, ojca czy nauczyciela, — wiele przemyślanego materiału z dziedziny zagadnień wychowania.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

JANUSZ MEISSNER

Autor, kapitan - pilot, daje szereg świetnych powieści lotniczych:

ESKADRA (wyczerpana)

4.300 KILOMETRÓW zł. 6.50

LOS „ 5.-

LATAJĄCY DJABEŁ

(Nowa serja „Roju”) „ 3.-

SZKOŁA ORLĄT

II wydanie, cena zł. 5.-

Książka polecona przez
M.W.R. i O.P.
jako lektura szkolna.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”